

M.E.

in

L. Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

w kodzie

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy


Ważny komunikat

str. 2

NR 21 (1678) ROK XXXIII

27 MAJA 1990 ROKU

CENA 1000 ZŁ



Zaraz wracam!

W NUMERZE:

Szwedzi na Piotrkowskiej
str. 4-5

Bardzo długie wakacje
str. 5

Czyje groby na Brusie?
str. 6

Kto nie lubi Sławomira Pietrasa?
str. 10-11

Kaszpirowski story
str. 8-9

Meldunki z Bukaresztu
str. 14-15

Wolni Demokraci startują
str. 13-14

Dlaczego zabijają kobiety?
str. 20

GLANO

pa, Włodzimierz Krzemiński, Jerzy Kwieciński, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Maciej Świerkocki.
Ogłoszenia — Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11. Dział reklamowy „Odgłosy” tel. 36 80 99 i 36 77 70.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch” 91-113 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamawionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5. Telefon: redaktor naczelny 36 52 44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80 99, publicysty: 36 77 70; 32 89 70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski. Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski. Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz. Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorczyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Bogda Madej, Bogumit A. Maszkowski, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski. Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc. Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński. Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk. Stałe współpracują: Marek Brzeziński (Paryż—Londyn) Magdalena Grochowalska, Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juszkiewicz, Andrzej Ken-



Ciekawe opinie o byłych prominentach wypowiada Włodzimierz Sokorski w wywiadzie udzielonym Januszowi Michalakowi z tygodnika „WPROST” (nr 20). Na temat generała Wojciecha Jaruzelskiego mówi:

„To jest bardzo ciekawa postać. Ja obserwuję go od chwili, gdy mając osiemnaście lat wstąpił do I Dywizji. Wystąpił go wówczas do szkoły wojskowej, ponieważ miał niepełną maturę, był inteligentnym chłopcem, a na zwykłego żołnierza był za delikatny. Posłałem go do szkoły razem z kilkoma synami oficerskimi, między innymi Śwóickim, Tuczapskim, Molczykiem; później szarpno mnie za zdradę interesów klasowych. Jaruzelski jest osobowością skomplikowaną, jest człowiekiem, który w młodości przeżył wielki dramat: Rosjanie wykończyli mu rodzinę; jego samego uratowało wstąpienie do polskiego wojska. I po prostu przestraszył się Rosjan. Cała jego późniejsza droga życiowa nie była drogą Konrada Wallenroda, ale Hamleta”.

Zdaniem W. Sokorskiego — Bierut, Molojca, Berman i jego przyjaciele byli agentami NKWD. Władysław Gomułka był człowiekiem uczciwym, lecz prymitywnym (skończył tylko cztery klasy szkoły austriackiej). A oto opinia o poprzednim premierze i ostatnim I sekretarzu KC PZPR:

„Rakowskiego zdemoralizowała żądza władzy. On na pewno nie miał żądzy bogacenia się. Owszem, dochrpał się mieszkania czteropokojowego, ma jeden pokój więcej ode mnie, w domu obok zresztą, ale co to za bogacenie się?! Rakowski jest natomiast piekielnie ambitny. Te ambicje z czasem przekształciły się w potrzebę władzy. Wicepremier, premier, I sekretarz... Kto mu kazał zostawać I sekretarzem, kiedy wiadomo było, że wszystko już przegrane?! W dodatku u niego przeważała arogancja władzy. (...) Nie chciałbym jednak, aby odniósł pan wrażenie, że atakuję Rakowskiego. Uważam, że jest to postać tragiczna. Z człowieka, który starał się poznać prawdę historii, stał się tym, który wierzył, że potrafi je również zmieniać. I to go zniszczyło”.

Włodzimierz Sokorski ma żonę młodszą od siebie o 37 lat. Jest człowiekiem bardzo aktywnym. Chętnie spotyka się z młodzieżą. Na swoje zebranie zaprosiła go „Pomarańczowa Alternatywa”. Tańczył z młodymi dziewczynami...

„Gdybym był młodszy, to pewnie bym wydupeczył jedną czy drugą, to są bardzo chętne dziewczyny. Wiedzą, że ja znam technikę, o jakiej ich gówniarze nie mają pojęcia, ale nie chciałem się wygłupiać. Mam już 82 lata i nade mną trzeba trochę popracować. Dużo zresztą ostatnio miałem spotkań z młodzieżą. Nawet z młodzieżą z KUL-u, która mnie zaprosiła. To najgrzeczniejsza młodzież, z jaką miałem w życiu do czynienia — żadnych prowokacyjnych pytań, żadnych ataków. Taka młodzież z ZSMP, w porównaniu z nimi, to były tygrysy”.

Wiele informacji o działalności byłych prominentów zawierają taj-

ne archiwa. W poprzedniej „POLITYCE” (nr 19) opublikowano oryginalny zapis telekonferencji, która odbyła się rano 26 czerwca 1976 roku między kierownictwem PZPR a sekretarzami komitetów wojewódzkich. Na wstępie Edward Gierek poinformował o wydarzeniach w Radomiu, Ursusie i Płocku, a następnie wezwał do organizowania wieców popierających politykę jego ekipy. Mówił między innymi:

„Towarzysze, mnie to jest potrzebne jak słońce, jak woda, jak powietrze. Jeśli tego nie zrobicie, to będę musiał się nad tym zastanowić. Wiecie o tym najlepiej — czy kierowaliście się podejmując tę decyzję. Wiecie, że przyswiecała nam myśl związana z Polską i związana z naszym narodem, dobrym narodem. I my nie możemy pozwolić na to, żeby w tym kraju było jakie chłystek narzucał swoją wolę ogromnej ilości ludzi, członkom partii itd. itd.”

Przed zakładami, które strajkowały, miały się odbyć wiece z udziałem przedstawicieli innych województw. W przemówieniach należało ostro potępić wszystkich strajkujących jako ludzi szkodzących krajowi. Edward Gierek mówił dalej:

„Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, a nawet jeśli zażądacie wyrzucenia z zakładu elementów nieodpowiedzialnych — tym lepiej dla sprawy. Ja o szczegółach tej drugiej sprawy nie chcę wam mówić, myślę, że to już towarzyszy Babiuch i towarzyszy Szydłak te sprawy z wami omówią, ale uważam, że trzeba stworzyć atmosferę potępienia dla tych zakładów, to musi być atmosfera pokazywania na nich jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydić, że w ogóle są Polakami, że w ogóle na świecie chodzą”.

W swojej książce Edward Gierek dystansuje się od tych wieców i powiada, że zostały zorganizowane w sposób kabaretowy. A tymczasem bardzo dokładną instrukcję przedstawił podczas telekonferencji Jan Szydłak. Potem wystąpił jeszcze Edward Babiuch i poprosił sekretarzy o zadawanie pytań. Z wyrazami poparcia pospieszyli: Zabiński, Milczarek, Fiszbach, Koperski, Kozdra, Kinecki, Wójcik i Grudziń. Byli I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, Tadeusz Fiszbach, powiedział:

„Towarzyszu pierwszy sekretarzu... — Gdańsk — Elbląg. Wszystko co w nas najwartościowsze i najlepsze, z myślą i wolą pracy dla kraju i partii, bezgranicznego wsparcia dla was, uczynimy”.

Jeszcze bardziej zaakcentował swe poparcie byli I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR Bolesław Koperski. Stwierdził on, że:

„... jutro rano tysiące ludzi wyjdzie na ulice, aby zmanifestować przywiązanie do partii. Towarzyszu Gierek, wczoraj i dzisiaj wielu ludzi dzwoniło do nas, mówili: powiedzcie towarzyszowi Gierkowi, że kochamy go, że liczymy na niego, że pomożemy mu”.

W dość kłopotliwej sytuacji znaleźli się ci politycy, którzy tworzyli była nomenklaturę i dalej są prominentami. Wojciech Jaruzelski uczestniczył 3 maja br. w mszy świętej w intencji Ojczyzny. Ciekawy reportaż z warszawskiej Bazyliki Archikatedralnej pod wezwaniem Ścięcia Świętego Jana Chrzciciela napisał w „TRYBUNIE” (nr 74) Dariusz Szymczycha. Zaproszenie na mszę kończyło się adnotacją, że wieście obowiązuje do godziny 16.40.

„Do bazyliki wpuszczono tego dnia niewielu wiernych, ale ci, którzy

zostali wyróżnieni zaproszeniem, szczególnie opanowali co lepsze — wiodkowo — miejsca. Wypatrują, kto przychodzi i z kim siada? Dla nich — zanim zacznie się msza święta — trwa polityczny spektakl.

Pierwsi przyszli przedstawiciele OKP. Poseł Andrzej Łapicki, w ciemnym garniturze, siedzi nieruchomo, wpatrzony w ołtarz. Nie odpowiada na pozdrowienia, nie zwraca uwagi na otoczenie. Siedzący obok niego senator Jan Karol Wende — jest znacznie bardziej ożywiony. Natomiast poseł Aleksander Małachowski nie zajmuje miejsca w ławkach dla oficjeli. Stoi w skupieniu w prawej nawie bocznej, spoglądając na pomnik Marszałka Sejmu Czteroletniego Stanisława Małachowskiego.

Pierwszym przedstawicielem rządu jest generał Czesław Kiszczałak, który usiadł pod amboną. Obok niego generałowie z kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Nowy wiceminister — Janusz Onyszkiewicz usiadł no przeciwnej stronie nawy głównej.

W międzyczasie nawiązują ambasadorowie. Są swobodniejsi, najmniej si siebie, bardziej ruchliwi niż Polacy, których zaproszono na tę mszę. Za piętnaście minut, przy wysokiej już frekwencji, śmiało przechodzi szef opozycyjnej partii — Aleksander Kwaśniewski. Zajmuje eksponowane miejsce wśród ludzi obecnej ekipy rządzącej.

Zaczyna się odliczanie. I spekulacje. Kto ostatni wejdzie do świątyni? Stelmachowski, Kozakiewicz, Jaruzelski, a może Mazowiecki? Dziennikarze przypominają, że tego samego dnia, rano, na placu Zamkowym wszyscy czekali na premiera kilka minut, a potem premier ze wszystkimi czekał trzy minuty na prezydenta.

Minutę przed siedemnastą oczekiwani wchodzi razem — zgodnie, może nawet jednym krokiem, bo takie wrażenie sprawia postawa otaczających najwyższych przedstawicieli państwa polskiego oficerów ochrony. Siadają nie witając się z nikim. Po chwili słychać dzwonek, wchodzi kapłan, a wśród nich celebrujący mszę za Ojczyznę prymas Polski kardynał Józef Glemp”.

Dziennikarze, fotoreporterzy i kamerzyści patrzyli przede wszystkim na prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Niektórzy twierdzili wcześniej, że generał, zwolniony od regulaminu wojskowego, w czasie mszy padnie na kolana. Ale sensacji nie było.

„Jaruzelski, podobnie jak Kozakiewicz, uczestniczy we mszy, ale nie modli się. Kiedy premier i marszałek Senatu klękają, prezydent i marszałek Sejmu stoją z pochylonymi głowami. Nie było taniego i nieszczerego gestu, był za to szacunek dla wiary i Kościoła. Stoł zresztą niewielu — generałowie, Kwaśniewski i paru zachodnich ambasadorów...”

E. L.

UWAGA! CZYTELNICY!

Decyzją Komisji Likwidacyjnej „Odgłosy” zostały zawieszane. Przepraszamy Czytelników, Autorów, Współpracowników! Obecny numer jest ostatnim. Czy „Odgłosy” się odrodzą? Takie próby są czynione.

REDAKCJA

Co zdecydowało, że kandyduje pan na radnego?

— Oczywiście potrzeba działania. W kwestionariuszu dla kandydatów na radnych przedłożonym Komisji Promocyjnej Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w rubryce: „Co mogę zadeklarować w przyszłości jako członek rady miejskiej”, napisałem: mimo młodego wieku — doświadczenie życiowe.

— A nie doświadczenie polityczne?

— Z demokratyczną opozycją miałem okazję związać się przez NZS. Zdobywałem doświadczenie polityczne w latach 1980—81 i pod pewnymi względami była to dobra szkoła, bo uczyła zachowań w ruchu społecznym podobnie jak „Solidarność”. W NZS było też

próba instrumentalnego wykorzystania autoritetu Kościoła.

— Rozumiem więc, że zalicza pan siebie do „solidarnościowej lewicy”?

— Kiedy mieliśmy spotkanie Komisji Kultury „Solidarności” z posłami ziemi łódzkiej, przedstawiłem się jako człowiek lewicy. Choćby dlatego, że p. Stefan Niesiołowski uważa się za człowieka prawicy, a ma on znacznie większe możliwości wpływania na opinię publiczną ode mnie. Skoro sam się tak określił, a jednocześnie moje widzenie potrzeb społecznych w Łodzi i w Polsce jest tak diametralnie różne od jego, to rzeczywiście stoimy na antypodach. Jeśli więc p. Niesiołowski jest tak daleko na prawo, że dalej jest tylko ściana, to ja się znajduję automatycznie na lewo. Ale muszę powie-

— Była też kiedyś Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, a nie miała nie wspólnego z demokracją. Komuniści, odwołując się do tradycji mogą się nazwać socjaldemokracją, nie wydaje mi się jednak, aby mieli jakiegokolwiek ideały czy program. Socjaldemokracja polega na tym, aby średnie warstwy społeczeństwa uczynić jak najbogatszymi. Dla socjaldemokraty pojęciu wolności jednostki towarzyszy jako człon nieodzowny niepodległość, czyli niezależność od innych państw. Dlatego frapuje mnie idea Europy jako wspólnej ojczyzny, boję się zaś terminu wspólny europejski dom, bo w domu tym mogłoby być na przykład jakiś gospodarz.

— Pan Janusz Korwin-Mikke określiłby pana zapewne jako bandytę...

— Cóż, ludzie pokroju pana Janusza Korwina-Mikke muszą sobie być jako element folkloru politycznego. Nawet, gdy wszystkich obrażają. Dla mnie najważniejsza jest tolerancja, mająca w Polsce tak piękną tradycję. Z przerażeniem więc myślę, że Łódź się od niej odcina. A jest to miasto, które wyrosło z wysiłku czterech narodów: polskiego, niemieckiego, żydowskiego, a nawet rosyjskiego.

— Mówiąc o nietolerancji ma pan na myśli panoramę polityczną Łodzi ostatnich miesięcy?

— Tak, to co prezentują mało liczne, acz hałaśliwe grupki określające siebie jako prawicę. Widać to na płotach, murach, a przecież w Łodzi nie ma już żadnych mniejszości narodowych. Szkoda, bo w przeszłości było to siłą naszego miasta, do tej tradycji powinniśmy się odwoływać. Historia — to są związki przyczynowo-skutkowe prowadzące nas do dnia dzisiejszego. Odwoływanie się do Józefa Piłsudskiego czy Ignacego Daszyńskiego jest anachronizmem. Bliski mi jest natomiast Józef Hieronim Rettinger, oszkolowany w stanie wojennym jako agent brytyjski. Tymczasem w jego działaniach przy boku Władysława Sikorskiego widzę załączki myślenia o wspólnocie europejskiej.

— Jak pan sobie wyobraża to odwoływanie się do łódzkiej tradycji?

— Mamy szansę być miastem europejskim, jeśli sięgniemy po kulturę zbudowaną na pograniczu, a więc bardzo atrakcyjną. Tymczasem staramy się dorównać Warszawie czy Krakowowi, a to jest niepotrzebne. Warszawa ma swoją specyfikę jako nuworysz kulturowy, bo po zniszczeniach wojennych nawet mury są tam nowe. Dziś Warszawa to kulturowo „stolica”, tak jak przed wojną istniała „warszawka”. Kraków ma większą tożsamość, ale nie możemy z nim konkurować. Natomiast jesteśmy bardzo atrakcyjni jako Łódź: miasto, które dynamicznie się rozwijało i stworzyło własną kulturę.

— Czy jest pan członkiem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi?

— Nie jestem członkiem żadnych stowarzyszeń. Jako organizacje wszystkie okazały się nieskuteczne. Jestem natomiast członkiem Łódzkiej Rady Kultury „Solidarność”. Są w niej ludzie różnych orientacji, ale dla mnie każdy działacz kultury jest człowiekiem lewicy w sensie społecznym, bo politycznie niekoniecznie.

— Nie boi się pan afiszować ze swą lewicowością poddając się jednocześnie próbie wyborczej?

— Nie byłem „a” nie jestem komunistą. Komunizm w polskim w” w” miał oblicze faszystowskie głosząc niekiedy skrajnie nacjonalistyczne hasła połączone z antysemityzmem, był więc prawicowy. Powiedziałem, że jestem człowiekiem lewicy i dlatego jestem w „Solidarności”.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Jacek Cybusz: Historia — to związki przeszłości z teraźniejszością!

Jestem człowiekiem lewicy

Rozmowa z **JACKIEM CYBUSZEM**, kandydatem na radnego z listy Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w Łodzi.

wiele negatywów. Podczas strajków spora grupa ludzi, głównie z pedagogiki, zastanawiała się nad przywróceniem monarchii w Polsce. Oni serio mówili o tronie, nas interesowała reforma życia akademickiego. Pozostałości tego myślenia widzimy w istniejących dziś klubach rojalistycznych czy konserwatywnych. Zastanawia mnie, po co ci ludzie marnują czas? Ale jest to zarazem dowód, że historia może działać pobudzająco na współczesność, choć może także oglupiająco, jeśli będziemy się odwoływać do przeszłości nie uwzględniając dzisiejszych realiów.

— Jednakże historia zaciążyła nad współczesnym obrazem życia politycznego.

— Spośród mało doświadczonych działaczy studenckich, którzy zastanawiali się wówczas nad rolą Józefa Piłsudskiego albo Romana Dmowskiego prowadząc uczone dysputy wyrosli liderzy partii, które cechuje nicieś programowa. Odwołują się oni bowiem do herosów, którzy umarli co najmniej pięćdziesiąt lat temu. Zapominają, że ówczesne programy nie przystają do dzisiejszej rzeczywistości.

— To cecha nie tylko łódzka...

— Ale w Łodzi nonsensy są najbardziej jaskrawe. Choćby Duszpasterstwo Piłsudczyków. Przecież z powodu takiego tworu musi się przewracać w grobie i sam Marszałek i kardynał Sapieha. Myślę o postawie światopoglądowej Józefa Piłsudskiego, o jego stosunku do religii Zresztą Roman Dmowski też wykorzystywał Kościół instrumentalnie. Józef Piłsudski zmienił wyznanie, aby ożenić się po raz drugi. Roman Dmowski był człowiekiem wręcz niewierzącym, do czego sam się przyznawał. Jako ideolog Obozu Wielkiej Polski który powstał w 1928 r. powiązał nacjonalizm z katolicyzmem tworząc zbitkę pojęciową Polak-katolik. Ale na pytanie pewnego dziennikarza brytyjskiego o stosunek do religii, odpowiedział: „Ja to nawet w psa nie wierzę, proszę pana”. Z tego biorą się kłopoty tożsamości ideowej licznych partii dzisiejszych.

— Ma pan na myśli Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe?

— Choćby. To dość silne ugrupowanie, na tle tworców kanapowych, nie odwołuje się bezpośrednio do żadnej międzywojennej partii, zapomina jednak, że nacjonalizm i chrześcijaństwo to dwa zupełnie różne obszary filozoficzno-moralne, one się po prostu wykluczają. Jeszcze ryzykowniejszą zbitką pojęciową jest Ruch Narodowo-Liberalny. Liczy się po prostu na to, że katolickie w swej większości społeczeństwo polskie będzie te ruchy popierało. Jest to więc także

dzieć, że komuniści są również na prawo ode mnie i to zdecydowanie.

— Kim więc jest dla pana człowiek lewicy?

— To człowiek, któremu nie jest obca idea sprawiedliwości społecznej, czy to rozumiana po chrześcijańsku czy też tak jak ją pojmują socjaldemokraci. Dlatego człowiekiem lewicy jest dla mnie z jednej strony Karol Modzelewski, a z drugiej marszałek Senatu p. Andrzej Stelmachowski.

— Komuniści też twierdzili, że realizują zasadę sprawiedliwości społecznej.

— Jedynie mówili. Wywodził się nie z ideologii Karola Marksa, tylko Lenina, który podszyl się pod Marksa. Komuniści zdobywali przychylność wykorzystując myśl socjalistyczną, aby ją natychmiast przekreślić. Na przykład przed wojną opanowali w Polsce Niezależną Socjalistyczną Partię Pracy, której działaczem był Andrzej Czuma, wyczelka bolszewików, a jednocześnie wtyczka polityczna. Do tego był defraudantem. Miał jednak odrobinę sumienia, skoro ostatecznie popełnił samobójstwo. Po wojnie komuniści zniszczyli socjalizm, zawłaszczając bezprawnie jego ideały, które gruntownie zmienili. Dlatego używali terminu marksizm-leninizm. Jeśli pierwsza z tych ideologii była lewicowa, to druga musiała być prawicowa. Ale nawet komuniści mieli pewne zasługi, jeśli chodzi o dostęp do oświaty nauki czy kultury. Inna rzecz, że wykorzystywali to jako instrument indoktrynacji. Obawiam się, że w dzikim liberalizmie, który nam zagraża, część społeczeństwa popadnie we wtórny analfabetyzm mimo wolności nauki czy kultury. Społeczeństwo jako całość nie stanie się więc mądrzejsze.

— Rozumiem, że zjawisko, o którym pan mówi, należy traktować w kategoriach zagrożenia?

— Bez pomocy całego społeczeństwa dziedziny te tak ważne dla bytu narodowego, podupadną albo nawet zginą. Ostatnio powstają szkoły społeczne, przed wojną takie szkoły nazywało się prywatnymi. Obawiam się, że dzieci wychowywane w tych szkołach będą kalek pod względem społecznym. Dobre przygotowanie do życia można bowiem osiągnąć tylko w środowisku bardzo zróżnicowanym, które kształtuje charakter.

— Czy jest pan kryptosocjalistą czy też członkiem jakiejś partii?

— Nie widzę w Polsce partii o obliczu socjalistycznym, do której mógłbym wstąpić. Wyznaję zasadę: „Bogaństwo, wolność, moralność!” To są prawdziwe wartości socjaldemokracji.

— Przecież powstały u nas niedawno aż dwie socjaldemokracje?

III

Komisariat Policji Państwowej przy ul. Dzierżyńskiego sprawuje pieczę nad całą Retkinią, Karolewem, Ogrodem Botanicznym zoo i Lublinkiem. Teren duży, ludzi mało. Praca w policji jest monotonna, żmudna i ma niewiele wspólnego z serialem „Miami Vice”. Zazwyczaj wykonuje się rutynowe czynności po kradzieżach, włamaniach. Sprawy rodzinne skarżone przez prokuraturę są bardzo czasochłonne i nieprzyjemne, bo nigdy do końca nie wiadomo kto ma rację.

— Kiedyś w bloku naprzeciwko komisariatu na klatce schodowej matka zostawiła w torbie małe dziecko — mówi porucznik Ryszard Kaźmierczak. — Dziecko uratowano, ale matka przepadła. Prawdopodobnie wy-

III Komisariatowi podlega także stadion ŁKS. Bazar daje klubowi dochody, a policji dużo pracy. Mecze zazwyczaj zabezpieczają umundurowane OPMO, ale obecni są również funkcjonariusze.

— Kiedy przyjeżdża Legia, pracuje całe Polesie — mówi por. Ryszard Kaźmierczak. — Kordon policjantów prowadzi kibiców z dworca na stadion i pilnuje, żeby nie stała się im żadna krzywda i żeby sami nie rozrabiali. Kiedyś przed meczem zebrało całą czapkę kulek łozyskowych. Uderzenie taką kulką wystrzeloną z procy mogłoby być śmiertelne.

Pierwszy „święteczny” tydzień maja był w Łodzi nadzwyczaj spokojny. Na wszelki wypadek ściągnięto jednak spoza miasta dwie dodatkowe kompanie do pa-

„Ziemie obiecane” w Łodzi. Autentyczne hale, w których wciąż się produkuje, udawały fabrykę sprzed 100 lat. System komunistyczny niczego tu nie zmienił. Trudno zrozumieć, że ludzie pracują w takich warunkach 30—35 lat. Mówi się, że Polska idzie na zbyt duże kompromisy.

Szwedzi bardzo interesowali się pracą policji, odwiedzili m.in. koszary OPMO oraz wyrazili ochotę towarzyszenia przy nocnym patrolowaniu ulic. W wersji pierwotnej chcieli śledzić nocne życie na Retkini. Zainteresowało ich duże skupisko ludzi, łódzka sypialnia, miasto w mieście powstałe w okresie propagandy sukcesu. Oto co zobaczyli filmowcy, którym towarzyszyła reporterka „Odgłosów”.

22.00
Ekipa pojawia się na ul. Feliksa Dzierżyńskiego. Jak na złość nic się nie dzieje. Na Retkini miało miejsce na razie tylko jedno włamanie, o którym właściciel mieszkania jeszcze nie wie. Pada propozycja, żeby zainteresowania poszerzyć o Śródmieście. Policjanci mówią, że ekipa filmowa spóźniła się, gdyby przyjechali kilka miesięcy wcześniej, mieliby pełne ręce roboty. Szwedzi wypytują o meliny, handel i produkcję alkoholu, o to, czy mieszkania są pod obserwacją.

Kapitan Adam Antczak (rzecznik prasowy WUSW) objaśnia, że aby zająć się meliną, potrzebny jest świadek, który zezna, że właśnie tam kupił butelkę wódki. A poza tym cukier teraz drogi i nie oplaca się pędzić.

22.15
Sprzęt przygotowany, pełna gotowość. Szwedzi się niecierpliwią. Wreszcie jest meldunek o zabójstwie na Widzewie. Trzeba tylko ustalić kryptonim, pasmo porozumiewania się przez radiotelefon i idziemy do samochodów. Spod komisariatu rusza polonez-radiowóz i prywatny fiat. Po drodze okazuje się, że na Widzewie jakiś nieszczęśnik przedawkował denaturat, a lekarz — jak to zwykle bywa — nie wykluczył udziału osób trzecich. Rezygnujemy. Samochody krążą po mieście. Fiat ledwo nadążył za polonezem ostro prowadzonym przez sierżanta sztabowego Zygmunta Krzemieńskiego.

22.57
Ul. Więckowskiego 51. Usiłowanie włamania do kiosku „Ruch”. Urwana kłódka, ale kiosk zamknięty. Na miejscu jest już policyjna nysa. Kilku gapiów na chodniku i na balkonach. Jakaś kobieta ogląda dwóch zatrzymanych: — wszystko się zgadza. Szwedzi filmują, ale widać, że oczekiwali czegoś innego.

— A to szaleńcy — kpt. Adam Antczak kręci głową z niedowierzaniem. — O tej porze już się zabrali do roboty.

Pada propozycja, żeby pojeździć Piotrkowską, może tam natrafimy na jakiś temat.

— Czy to jest dobry czas? — pyta Karl Larsson.

Wsiadamy do samochodów. Sierżant Zygmunt Krzemieński narzeka, że mu niewygodnie, bo dla potrzeb filmu Szwedzi nie pozwolili mu w samochodzie zdejmować czapki.

23.05
Ul. Kopernika. DUSW Łódź — Polesie. Nysa przywozi zatrzymanych na Więckowskiego. Re-

wizja. Na podłodze zostają klucze, drobne pieniądze i puste paczki po „Stolecznych”. Szwedzi dopytują się o procedurę, zdejmowanie odcisków palców, jak będą wyglądać oględziny kiosku.

Starszy pan wiezie na wózku inwalidzkim babcię. Na ulicy wyjątkowo dużo ludzi jak na tę porę. Pewnie dlatego, że jeszcze jeżdżą tramwaje.

Interesy wydają się być sprzeczne: ekipa telewizyjna oczekuje ciekawych wydarzeń, policjanci woleliby, aby noc była spokojna.

23.15

Znow meldunek o włamaniu do kiosku. Tym razem na ul. Srebrzyńskiej. Chyba fałszywy alarm. Jedziemy ul. Obrońców Stalingradu. Pierwszy radiowóz, za nim fiat. Rozmawiamy. Nagle chorąży Włodzimierz Morawski krzyczy, żeby natychmiast się zatrzymać i dać sygnał, aby polonez zawrócił. Z pistoletem w garści wyskakuje z fiata. Wszyscy są zaskoczeni. Okazuje się, że 16-letnia praktyka sprawiła, że wystarczył rzut oka, aby zauważyć dwóch osobników obrabiających kiosk róg Gdańskiej i Obrońców. Prawdopodobnie obecność kamery powoduje, że policjanci obchodzą się z włamywaczami bardzo stanowczo. Złodziej leży rozplaszczony na ziemi, ręce skute, nogi szeroko rozstawione. Dopiero po rewizji przychodzi kolej na dokumenty. Obaj osobnicy nigdzie nie pracują i wcześniej byli karani za podobne przestępstwa. Na ziemi leży dowód rzeczowy w postaci przecinaka, a może dłuta. Worek na łup jeszcze pusty — przyjechaliśmy o kilka minut za wcześnie. Kamera wciąż pracuje. Pojawia się kilkoro gapiów, jakaś pijana kobieta ubliża sprawcom włamania (a może policjantom?). Inna kobieta opowiada co zauważyła. Ma obok kiosku owocowo-warzywny i twierdzi, że u niej też próbowali majstrować, bo coś wyłupali przy zamku. Czekamy aż przyjedzie właściwa ekipa — my znaleźliśmy się tam przez przypadek. Pani z zieleniaka opowiada przed kamerą („niech pan! mówi całym zdaniem”) — proszą filmowcy, że się nie boi, bo urodziła się w tych okolicach i jest przyzwyczajona do nieciekawego sąsiedztwa. Szwedzi zastanawiają się, jak by tu pokazać strach, gdzie znaleźć ludzi z obawą przemykających po ulicach.

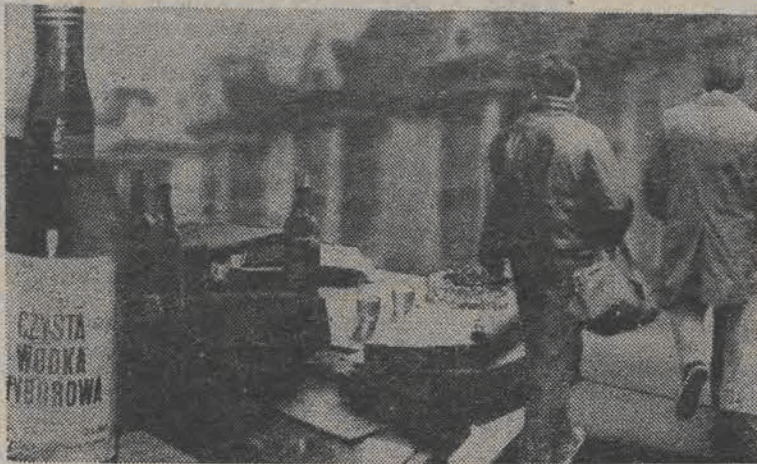
23.40
Jedziemy dalej w poszukiwaniu sensacji. Pod księgarnią „Pegaz” kilka weteranek najstarszej profesji świata oczekuje na klientów. Chorąży Włodzimierz Morawski wspomina, że kiedy jeszcze pracował na Śródmieściu, często spotykał się z przypadkami, że porządni mężczyźni zabawiali się po wyplacie z 60-letnimi paniami z III ligi. — Aż żal patrzeć. — dodaje.

Postój pod rektoratem Akademii Medycznej. Kierowca czerwonego poloneza, w którym siedzą dwie panienki (tym razem dużo młodsze) na wszelki wypadek odjeżdża. Za dużo policji. Dla potrzeb sztokholmskiej telewizji radiowóz z migającym kogutem robi rundę po al. Tadeusza Kościuszki. W międzyczasie kpt. Adam Antczak opowiada o włamaniu do niedawno

Łódź w nocy

Szwedzi na tropie przestępców

MONIKA MATUSZAK



Collage: Grzegorz Galasiński

stadła z pociągu na Dworcu Kaliskim, podjechała tu pierwszym lepszym tramwajem, a potem wróciła do domu. Niedawno zaginęła dziewczynka. Jej matka zgłosiła porwanie przez trzech nieznanych zamaskowanych osobników. Zablockowano drogi wyjazdowe, postawiono na nogi dwie kompanie OPMO, przeszukiwano działki, wszystkie dzielnice były zaangażowane. Okazało się, że dziecko poszło z tatusiem, który już nie mieszkał razem z matką.

To nieliczne przykłady spraw niecodziennych. Rzadko zdarza się coś tak nietypowego, jak np. wylawianie zwłok, które wraz z nieczystościami napłynęły do oczyszczalni ścieków.

Ponad rok temu do komisariatu dochodziły głosy, że na osiedlu zawiazała się grupa satanistów i spotyka się na cmentarzu. Wśród mieszkańców Retkini zapanował popłoch. Cmentarz otoczono, ale poza różnymi napisami nie natrafiono na żaden ślad i sprawa rozeszła się.

Był okres, że na Zdrowiu grasował ekshibicjonista. Wiele wskazywało na to, że ktoś z koszar ZOMO w ten sposób „umila” sobie przepustki, ale nie udało się go ująć na gorącym uczynku, a wkrótce zaprzestał swego procederu.

trólowania ulic, ale w tym okresie nie wydarzyło się nic szczególnego.

Od kilku tygodni przebywa w Polsce ekipa szwedzkiej telewizji, która kręci film o naszym kraju. Wybór padł na Łódź, jako na duże, ale nie największe, miasto robotnicze, pracujących kobiet, miasto, które może być kluczem do zrozumienia obecnej sytuacji w kraju.

Håkan Pieniowski: — Od 1980 r. w Szwecji dużo mówiono o Polsce. Teraz jest cisza. Chcemy pokazać różne portrety ludzi, jak żyją, co myślą. Czy w Szwecji widzowie będą w stanie zrozumieć to, co tu się dzieje? To będzie bardzo trudne, ale chcemy zgłębić problem. Czasem wydaje mi się, że przyjechaliśmy za wcześnie, sytuacja jeszcze nie jest ustabilizowana. Łódź ma charakter starej Europy. Piękne, ale bardzo zniszczone domy, bogata historia. Mamy już dobry materiał na film, a będziemy jeszcze pracować.

Karl Olov Larsson: — Myślę, że pewne sprawy są zrozumiałe dla wszystkich. Nie można być tylko idealistą, ludzie potrzebują też chleba, wtedy będą dobrze pracować. Byliśmy w dużych zakładach pracy — to bardzo ciekawe środowisko. Wajda kręcił

1.

Dziś, gdy wolno się nie bać, ludzie mówią więcej niż kiedyś. Być może mówiliby i wcześniej, ale ich nikt nie pytał.

Niedawno zadzwonił telefon: — Przyjdź do mnie, mam coś dla ciebie.

To mój przyjaciel ze szkoły podstawowej, którego nie widziałem dwadzieścia lat. W czasie wykonywania zajęć służbowych natrafił na ludzi, którzy odślonili przed nim przeszłość. Opowiedzieli o zdarzeniach, które gniotły ich pamięć przez wiele lat.

Mój przyjaciel sfilmował kamerą wideo zeznania tych ludzi. Jest to opowieść o zbrodniach. Nieznane są ofiary, nieznani ich mordercy. Znany jest sprawca główny: system, który powoli odchodzi w przeszłość. W przeszłość, lecz nie w niepamięć.

2.

Pod Łodzią, przy ul. Konstantynowskiej, jest PGR Brus. Po drugiej stronie ulicy, bardziej na zachód, porasta niewielki las, zagajnik, z dzikim boiskiem pośrodku, gdzie mali chłopcy uganiają się za piłką. W tym lasu, pierwszej powojennej wiosny ginęli ludzie. Polaków zabijali inni Polacy.

Mówią okoliczni mieszkańcy, których nazwiska znam, lecz ich nie ujawnię. Skoro żyją świadkowie, mogą żyć i sprawcy zbrodni.

Świadkowie pierwsi, małżeństwo:

— Było to wiosną, już po wyzwoleniu. Pewnego dnia wojsko obstawiło las. Staliśmy za stertą słomy i słyszeliśmy strzały. Byliśmy tam później. Na ziemi leżały okulary. Po jakimś czasie ktoś postawił tabliczkę z napisem, że „tu leży AK”. Tabliczka ta potem zniknęła. Ilu ludzi tam leży, nie wiadomo. Zbiorowa mogiła jest do dziś, nikt tego nie rozkopywał.

Drugi świadek, kobieta:

— Widziałam jak rozstrzelali, gdy z mężem wybrałam się po trawę dla królików. Przywieźli pięciu. Musieli oni wykopać sobie dół. Później do nich strzelali, wszystkich dobijali i zakopali. To było rano, o czwartej. Kiedy indziej przywieźli pana w garniturze i kapelusiku. Musiał wykopać sobie dół. Stał przy drzewie i czterech do niego strzelało. Dobili go, zakopali i odjechali. Ludzie mówili, że ojciec tego pana był w Ameryce. Później w jedną trumnę wszystkie kości wybierała jedna pani, żona tego z Ameryki. Ja tego nie widziałam, słyszałam tylko, że wszystkie kości zabrano. Widziałam jeszcze kilka rozstrzelanych. Strzelali cywile. Jednych przywieźli tramwajem, a innych ciężarówką.

Trzeci świadek, kobieta:

— Do lasu wjeżdżała ciężarówka, chyba wojskowa i ludzie to też chyba byli wojskowi, nie pamiętam dokładnie. Po egzekucjach chodziliśmy tam, widać było świeżutkie groby. Były pojedyncze mogiły, na nich ktoś, chyba rodziny, zapalał znicze i kładł świeże

kwiaty. Te zbiorowe porosły trawą. Były prawdopodobnie dwie zbiorowe egzekucje. Prasa podawała wtedy, że to byli Niemcy. Ale po wojnie? Niemcy?

Wszyscy świadkowie wskazują te same miejsca w lasu, choć, trzeba przyznać, po dłuższych poszukiwaniach. Lasek, według nich jest dziś jakiś bardziej wyłysiały, a i pejzaż się zmienił, widać w dali dziesiątki bloków Retkini. Miejsca zbiorowych egzekucji odnaleziono tuż obok dzikiego boiska.

grobie było dwóch mężczyzn i kobieta.

3.

Niedaleko Rzgowa, tuż obok torów linii tramwajowej nr 42, opleciony z drugiej strony nitką drogi szybkiego ruchu z Łodzi do Piotrkowa i dalej, jest stary cmentarz wojenny, miejsce „wiecznego postoju” żołnierzy niemieckich i rosyjskich z I wojny światowej. Gęsto zarosnięty krzakami, zaniedbany

Uwaga! Ziemia wokół Łodzi kryje wiele miejsc zbrodni. Pokazujemy pierwsze takie miejsca

MAREK KOPROWSKI

Jest jeszcze jeden świadek, kobieta, mieszkanka Konstantynowa, która od wyzwolenia do roku 1950 mieszkała „na Brusie”.

— Widziałam zakryte auto, takie, jakim wożą więźniów. Chyba żołnierz, z bronią, stanął na skraju lasu, nie wolno było się nawet zbliżyć. Po chwili rozległy się strzały. I odjechali. Pobiegliśmy tam, mogiła była, z żółtym, świeżym piaskiem. Po pewnym czasie to samo się odbyło: strzały, a potem widzieliśmy świeżą mogiłę. To było lato, a może pod jesień. Później przyjechała starsza pani z młodszą, postawiły świeczki i krzyż. Podobno ta starsza była z zagranicy, syna wykopała. Mówiono, że w pierwszym

i zniszczony, skrywa tajemnice czasów całkiem nam współczesnych, lat nieodległych, tajemnice, o których mówią — również anonimowo — mimowolnie świadkowie przerażających zdarzeń.

Świadek pierwszy, mężczyzna:

— Na przeciągu dwóch lat, 1983—85, widziałem, jak w biały dzień przyjeżdżały wozy osobowe albo suka milicyjna, albo żuk, przywoziły trumny, proste trumny z surowego drewna i zakopywały je na terenie cmentarza. Chowano trumny w tym miejscu, gdzie nie było żadnych wcześniejszych mogił. Gdy byłem małym, widziałem jak znalezione ciała dwóch mężczyzn w więziennych dre-

lichach z ranami ciętymi na głowach, pochowanych na cmentarzu bez trumien. Przyjechał wtedy jakiś pułkownik UB i kazał zabrać zwłoki. Widziano również ciężarówkę UB, jak w nocy wjeżdżała na cmentarz. A w latach siedemdziesiątych był taki czas, że milicja wyganiała ludzi z cmentarza.

Drugi świadek, mężczyzna: — Mieszkam na Gospodarzu. Kiedyś wieczorem byłem na cmentarzu i nie nie było. Rano już był świeży grób. Kolega widział, jak przywieźli trumnę i koparkę. To był rok 1972.

Trzeci świadek, również mężczyzna:

— To było na początku lat siedemdziesiątych. Oratelem na polu. Przyjechał samochód z „łapą”, taką łyżką, jak u koparki. Ta łapa wykopała dół. Nawet nie wjeżdżała na teren cmentarza, przez płot. Później nyska przywoziła drewnianą skrzynię w kształcie trumny i zakopano ją. Milicja była, więc patrzyłem ukradkiem. Zasypano dół i samochód ujeżdżał to miejsce kołami. Moja mama opowiadała, jak przywieźli na cmentarz człowieka. On uciekał, ale go złapali. Prosił: „panowie, darujcie mi życie”. To też były lata siedemdziesiąte. Słyszałem również opowieść tramwajarzy, których tramwaj służbowy odwoził w nocy do domów. Zatrzymali się przy cmentarzu, żeby zrobić siusiu. Słyszeli jak ktoś krzychał: „nie zabijajcie mnie, darujcie mi życie”.

Wszyscy świadkowie odnajdują zapamiętane przez siebie miejsca. Dziś porasta je trawa, mech, krzaki. Na wzgórzu, pośrodku cmentarza, stoi ogromny obelisk z kamieni polnych, z kamiennym napisem: „Pro Patria”.

4.

Powojenna historia tego cmentarza jest — przy zachowaniu wszystkich proporcji — równie haniebna, jak opisywane wyżej zdarzenia. Po wojnie odbywały się na nim prawosławne nabożeństwa, zakazane później przez władze. Cmentarz stał się wysypiskiem śmieci. Nagrobek gen. Litzmanna, barona, skradziono, gdyż był granitowy. „Słuchać było”, że przyszły pieniądze z RFN na remont i pielęgnację cmentarza, ale zginęły i wystarczyło jedynie na bramę.

— Tu był taki naczelnik — mówi jeden ze świadków. — Teraz jest jednym z ważniejszych urzędników w Urzędzie Miasta Łodzi. To był największy cwaniak na tym terenie. Stan wojenny spowodował, że dokumenty gromadzone na niego przez „Solidarność” w jakiś dziwny sposób zaginęły.

5.

Teraz, gdy wolno już się nie bać, mam nadzieję, że ludzie przypomną sobie o tym, co skrywali z przeszłości i przyczynią się do ujawnienia miejsc zbrodni! Liczymy na Czytelników!



Foto: Grzegorz Galasiński

— Graliśmy kiedyś w jednej drużynie. Strzeliliście wtedy trzy bramki. Patrząc na ciebie byłbym pewny, że zostaniesz piłkarzem.

— Tak, pamiętam — to było jeszcze w podstawówce. Już wtedy chciałem i lubiłem grać w piłkę. Dlatego od najmłodszych lat bardzo systematycznie trenowałem. Nikt jednak nie przypuszczał, że tak potoczy się moja kariera. Kto mógł przewidzieć, że zadebiutuję w pierwszej lidze mając 16 lat. Do tej chwili rozegrałem już 200 ligowych spotkań, a 21 razy wystąpiłem w reprezentacji Polski.

— Zatem nie bez powodu jesteś uważany za najlepszego piłkarza polskiej ligi?

— Nie lubię siebie oceniać, ale cieszą mnie takie opinie.

— Cała twoja dotychczasowa kariera była związana z jednym klubem. Czy to dobrze?

— Czasami żalowałem, że nie odszedłem wcześniej z ŁKS, ale zdecydowało o tym wiele spraw. Nie ma sensu żałować tego, co już się przeżyło. Dużo chyba nie straciłem, że nie odszedłem.

— Czy było aż tak źle?

— Nie, ale zawsze najgorzej traktuje się wychowanków. W pełni docenionym można być tylko w innym klubie — obcym.

— A które polskie kluby chciały cię kupić?

— Przede wszystkim Górnik Zabrze, GKS Katowice, a także parę lat temu Widzew.

— Legia zawsze „biła się” o łódzkich zawodników. O ciebie nie. Czyżbyś nie podobał się „wojskowym”?

— Nie wiem. Może dlatego, że jestem już po wojsku. Gdybym był poborowym, może musiałbym tam iść.

— Zadnemu z polskich klubów nie udało się ciebie pozyskać, tymczasem publiczną tajemnicą jest twój rychły wyjazd za granicę. Możesz zdradzić dokąd?

— Nie będę operował nazwami klubów, ale zainteresowani są Grecy, Francuzi, dwa kluby hiszpańskie i jeden z RFN.

— Kiedy sprawa kontraktu wykrystalizuje się na tyle, że będziesz mógł powiedzieć: „Jade”?

— Były prowadzone pewne rozmowy, ale nic pewnego jeszcze nie ustalono. Myślę, że jednak w czerwcu wyjadę.

— Która liga najbardziej by ci odpowiadała?

— Francuska, hiszpańska, włoska — tam gdzie dominuje futbol techniczny. W RFN gra się przede wszystkim siłowo. Odpowiadałyby mi także drużyny greckie, są tam cztery kluby, które prezentują dobrą, techniczną piłkę.

— Ile kosztuje Jacek Ziobler?

— Kiedy przyjeżdżają kontrahenci, okazuje się, że jestem najlepszym zawodnikiem w kraju i żąda się za mnie wygórowanej sumy. Tymczasem takich pieniędzy nie da się uzyskać. To powinno być jasne dla wielu ludzi.

— Nie oceniasz siebie co najmniej na milion dolarów?

— Na milion tak. Może nawet trochę więcej. Ale są tacy, którzy chcą zbyt wiele. Kiedyś był PZPN, COS, GKFFIS — oni dyktowali wysokość transferów. Teraz to samo robią działacze klubowi.

Tymczasem na Zachodzie nie ma zainteresowania polskim piłkarstwem. Za dużo mniejsze pieniądze można kupić równie dobrego zawodnika z Afryki.

— Dlaczego tak jest?

— U nas podstawą jest przygotowanie fizyczne zawodnika — jak będzie miał siłę, to będzie grał. To nieprawda. Dla mnie podstawą jest technika. Trzeba wiedzieć, co z piłką zrobić, i jak. Na treningu piłka powinna być obecna zawsze — tego u nas brakuje — nawet podczas ćwiczeń wytrzymałościowych. To dawałyby większe efekty, niż „puste” bieganie.

— Ile kosztuje Jacek Ziobler?

Na wszystko jest czas i miejsce

Rozmowa z JACKIEM ZIOBEREM — piłkarzem ŁKS

— Czy obecna pozycja ŁKS nie jest jego zasługą?

— Zrobił w tej drużynie dobrą robotę. Wyzwolił pewne ambicje, obalił pewne stereotypy. Ale wzrosła także świadomość piłkarzy. Kiedy stawka są marne pieniądze, to grać się nie chce. To co robimy to zawod — tak trzeba traktować piłkę. Z grania powinniśmy zarobić na życie — jak na Zachodzie.

— Czy własnie takie podejście jest podstawą sukcesów drużyny w tej rundzie rozgrywek?

— ŁKS jest młodym zespołem — z perspektywami. Nabraliśmy trochę praktyki. Mecze wygrywamy w ostatnich minutach. Świadczy to o tym, że jest już pewna rutyna i chęć gry. Myślę, że drużyna mogła wcześniej grać dobrze i osiągać sukcesy. Wchodzi tu w grę czynniki finansowe — jest duża motywacja do gry i satysfakcja, że ta gra daje efekty — to się ze sobą wiąże. Przy odrobinie wysiłku ze strony działaczy i zawodników, ŁKS może w 1991 roku walczyć o tytuł mistrza Polski.

— Bez ciebie będzie trudno.

— Może raczej — trudniej, ale nie wydaje mi się, żeby nie było na to rady. Przy odpowiednim rozdysponowaniu pieniędzy za mój transfer można kupić wartościowych zawodników i tę dziurę zalać.

— Czy jest ktoś, kto mógłby cię zastąpić?

— Jest kilku młodych zawodników reprezentacji olimpijskiej, w których warto zainteresować. Jest też paru graczy doświadczonych — nawet z Widzewa.

— A co z reprezentacją? Są sugestie, że stanowisz jej filar.

— Nie ujmowałbym tego w taki sposób. Myślę jednak, że trener Strelau liczy na mnie i mogę tylko obiecać, że zrobię wszystko, żeby go nie zawieść.

— Mówi się, że kadra Wojciecha Łazarka i obecna reprezentacja nie dają się ze sobą porównać. Jak to oceniasz?

— Teraz wszystko robione jest na zasadzie koleżeństwa. Można porozmawiać, ocenić pewne sytuacje — atmosfera sprzyja budowaniu zespołu. U Wojciecha Łazarka nie było przyjemności grania.

— Czy ta ocena nie wynika stąd, że teraz masz pewne miejsce w reprezentacji?

— U Łazarka ciężko było zagrać. Miał swoich ludzi. I ta ciągła rotacja zawodników. Przy ciągłych zmianach nie można nic zrobić. Musi być trzon drużyny — kilku zawodników stałych. Odkąd kadre

przejął trener Andrzej Strelau gra wygląda zupełnie inaczej. Mieliśmy także słabe mecze, ale ogólny bilans jest lepszy niż poprzednio. A do trenera Łazarka mogę mieć jedynie żal, że nie dał mi szansy.

— A twoje stosunki z Leszkiem Jezierskim?

— Nie wchodzimy sobie w drogę. Nie staram się robić nic, co mogłoby zaszkodzić jemu i vice versa. Myślę, że gdybym potrzebował pomocy i zwrócił się do trenera, to starałby się pomóc.

— można go wykonywać przez dziesięć — piętnaście lat, przy odpowiednim prowadzeniu się. A później, jeżeli nie zgromadzi się odpowiednich środków, trzeba poszukać sobie innego zajęcia.

— Odpowiednie prowadzenie?

— Żeby jak najbardziej przedłużyć aktywność, trzeba zachować zdrowie i kondycję. Na ten czas trzeba darować sobie pewne rzeczy. Przy zaangażowaniu w grę i trening i równoczesnych zabawach i „życiu rozrywkowym” organizm nie wytrzymałby tego okresu. Jeżeli chce się być dobrym piłkarzem, takie postępowanie nie popłaca na dłuższą metę.

— Kilka lat temu mówiło się o bogatym życiu towarzyskim piłkarzy...

— To się zmieniło. Gdyby było jak przed laty, to nie byłoby formy, drużyna źle by grała, nie zarabiałoby się pieniędzy. To zaraz widać by było na boisku. Myślę, że widać tu poważne podejście piłkarzy do tego, co robią.

— A ty?

— Każdy jest człowiekiem. Ale na wszystko jest czas i miejsce. Kiedy kończy się liga, mamy przerwę. Wtedy jest czas, żeby nadrobić pewne rzeczy. Można wtedy pobawić się i to nie jest chyba nagane.

— Głośno była sprawa twoich wypadków samochodowych.

— Zawsze robi się wielkie afery z małych rzeczy. Gdyby na moim miejscu był kto inny, nie byłoby sprawy. To był zwykły wypadek — jakich wiele. A konsekwencje? Tego nigdy nie można przewidzieć. Wina w każdym razie nie była jednoznaczna. A dlaczego rodmuchano sprawę? To chyba cena popularności, chociaż pchanie się z buciarami w prywatne życie jest wg mnie negatywne. Każdy powinien mieć nienaruszalną sferę prywatności.

— 9 lat w ŁKS. Zwycięstwa i porażki na tym stadionie. A teraz ostatnie mecze i wyjazd. Co chciałbyś powiedzieć kibicom na pożegnanie?

— Żeby byli bardziej obiektywni. Żeby nie słuchali plotek i kierowali się własnym odczuciem. Kibice gwizdzą i wyzywają nas po słabych występach, a kiedy wygrywamy przychodzą i klepią nas po plecach. To trochę dwulicowe. Kibice powinni być bardziej życzliwi.

— A koleżdy z drużyny?

— Niech robią dobrze to co robią.

— I jeszcze kwestia techniczna. Jak się powinno mówić — Jacka Ziobry, czy Jacka Zlobera?

— Nie pytałem językoznawców, ale raczej Ziobera — to chyba ładniej brzmi.

Rozmawiali:
ANNA GRONCZEWSKA
MAREK JUŚKIEWICZ



Foto: Grzegorz Galasiński

Kaspirowski story (2)

Jak Lesia Jurszowa cierpiała dla cudzej kariery

JACEK INDELAŁ

W grudniu 1989 roku po szóstym seansie dalsze emisje zostały wstrzymane. Nikt niczego na ten temat nie wyjaśnia, ale decyzje o zaprzestaniu seansów — jak i o ich uruchomieniu — zapadają najpewniej na najwyższym szczeblu, skoro lawina próśb i lamentów pozostaje bez echa. Telewizja moskiewska jest nieugięta. Pojawiają się plotki, że Anatolijem Kaspirowskim posłużono się dla zlagodzenia napięcia w ponurej przegrodzie rzeczywistości radzieckiej, że użyto go dla odwrócenia uwagi ludzi od powszednich, jakże dotkliwych trosk i udręk, eksperyment jednak przeszedł oczekiwania mocodawców. Są nawet tacy, którzy powiadają, że Kaspirowski sam popełnił błąd angażując się w politykę, wystąpił mianowicie w specjalnym przekazie dla Mołdawii, usiłując uśmierzyć tamtejsze bunt i strajki, co ponoć dało odczuwalne rezultaty.

Prowincjonalny lekarz z Ukrainy taką potęgą?

Nasila się równocześnie prasowa nagonka przeciwko niemu, a zwłaszcza przeciwko wykorzystywaniu telewizji do seansów terapeutycznych. Z początku nieśmiała, bo jeszcze do niedawna skrytykować Kaspirowskiego znaczyło targnąć się na narodową świętość, o czym przekonała się przodująca w tej kampanii „Litieraturnaja Gaziet”, której spora część czytelników — dokładnie co trzeci — wycofała się z prenumeraty na znak solidarności z atakowanym. A ataki przybierają z dnia na dzień na sile, coraz bardziej bez pardonowe.

Prawdziwą ich lawinę uruchomiły publiczne enuncjacje własnie Lesi Jurszowej, bohaterki z tbiliskiego stołu operacyjnego. Przedstawiła ona najpierw swą demaskatorską opowieść w młodzieżowym programie ukraińskiej telewizji, a wkrótce łamy „Litieraturnoj Gaziety” (2.11.1989) udostępnił jej Siergiej Kisielew,

specjalizujący się w temacie „Kaspirowski”.

Lesia Jurszowa złożyła „samokrytykę”, twierdząc, że wszystko, co wiązało się z jej operacją, było stękiem kłamstw, ona zaś sama jest główną sprawczynią mistyfikacji, gdyż — nabrawszy bezgranicznego zaufania do A. Kaspirowskiego — postanowiła mu pomóc za wszelką cenę w zrobieniu oszałamiającej kariery. Nie miała cienia wątpliwości, przyjmując propozycję doktora. Od razu nastawiła się, że niezależnie od tego, co się wydarzy, nie zawiedzie go, zwłaszcza że obiecał, iż po operacji wyleczy ją z wszelkich dolegliwości, odchudzi ją jeszcze bardziej, a także będzie ją zabierał na zagraniczne wyjazdy jako żywą reklamę swej metody anestezjologicznej. Zapewniał przy tym, że ból nie będzie większy niż ukłucie komara. Do operacji przygotowywała się Jurszowa starannie. Makijaż i manicure, kolczyki i pierścionki, włosy prosto od fryzjera.

A ból — jak twierdzi — okazał się straszny, traciła oddech z bólu, cała zamieniała się w jeden, wszechogarniający ją ból. Uśmiechała się jednak przez cały czas, śpiewała nawet, poświęcając się dla doktora, który ją potem okrutnie zawiódł, nie dotrzymał żadnej z obietnic, bo był już „na Olimpie stawu”: Lesia zrobiła swoje, Lesia nie była już potrzebna. I nic doktora nie obchodzi teraz jej los, nie obchodzi go, że jest coraz ciężiej chora. Rany w osiem miesięcy po operacji nie zblizniają się, pogorszył się wzrok i słuch, pojawiły się silne bóle głowy i serca, jest wciąż osłabiona, chociaż wcale nie chudnie. Lekarze powiadają, jak twierdzi ona, że dolegliwości mogą być skutkiem szoku wywołanego przez ból.

Rewelacje Lesi Jurszowej zbiegają się z artykułem w „Medicinskoj Gazietie” (22.10.89), w którym W. Wasiliew opisuje drobniaczko poważne zaburzenia psychiczne, jakie wystąpiły podobno po telewizyjnych seansach

Anatolija Kaspirowskiego u pewnej dziewczynki zamieszkałej na dalekiej Północy. A doc. dr W. Liebidiew upowszechnia wyniki badań, którymi objął dwa tysiące uczniów i pięciuset studentów 92 procent badanych, jak się okazało, oglądało seanse telepsychoterapii, u wielu dzieci zaobserwowano podczas emisji reakcje historyczne, nieskoordynowane ruchy i inne anormalne zachowania, 42 procent dzieci zapadało w sen hipnotyczny, u niektórych odruch ten tak się utrwalił, że usypiają już na widok fotografii A. Kaspirowskiego. U 7 procent badanych wystąpiła po seansie sennaść lub podniecenie, nudności, bóle głowy, trudne do opanowania nieskoordynowane ruchy. Ten sam specjalista ujawnia ponadto, że po pierwszym seansie telewizyjnym doktora Anatolija Kaspirowskiego poddano kontroli moskiewską stację pogotowia ratunkowego. W czasie trwania seansu i przez dwie godziny po nim wezwań prawie nie było, a potem — zamiast zwykłego w niedzielny wieczór spokoju — nastąpił nagły wzrost zgłoszeń ciężkich stanów: obrzęki płuc, arytmia serca, skoki ciśnienia. Śmiertelność w ciągu dwóch pierwszych dobow po seansie — jak twierdzi W. Liebidiew — wzrosła trzykrotnie.

Opinię tę upowszechniła „Litieraturnaja Gaziet”, w której ślady poszło wiele innych gazet i czasopism. Szczególnie zajadłe zaatakował A. Kaspirowskiego dziennik „Izwestia”, domagając się natychmiastowego zdjęcia seansów z telewizyjnej anteny.

Głośnym echem — nie tylko w Związku Radzieckim — odbiła się wypowiedź prof. Todora Diczewa z Bułgarii, konsultanta Centrum Naukowego ds. Bioenergii, który telepsychoterapię nazwał „psychicznym Czarnobylem”. Warto przytoczyć fragment jego wypowiedzi ze wspomnianej dyskusji w Instytucie Filozofii Akademii Nauk ZSRR:

„Mnie już nie dziwią owacje po tanich efektach Kaspirowskiego. Zadziwia jednak lekko-

myślna niechęć do rozważenia możliwości zaistnienia strasznych następstw (...) Jeszcze w latach siedemdziesiątych nasz profesor Georgi Łozanow pracował nad problemami sugestologii z wykorzystaniem telepsychoterapii. Przeprowadzaliśmy eksperymentalne seanse telewizyjne, ale tylko z osobami, które chciały dobrowolnie opanować pod hipnozą język obcy (...) Okazało się, że dodatkowo ludzkie możliwości, daje się zaobserwować eksplozja energii, która wpływa dobroczynnie na człowieka. Jednak później u wielu ludzi następuje znaczne pogorszenie stanu zdrowia. Zauważyliśmy, że u wielu osób po upływie trzech do pięciu lat wystąpiły poważne niedomagania fizyczne i psychiczne, niektórzy nawet zmarli. A byli to na początku ludzie o znakomitym wręcz żelaznym zdrowiu. Jeśli po ograniczonych teleseansach pojawiły się tak poważne następstwa u zdrowych ludzi, to można sobie wyobrazić, jakie będą skutki seansów telewizyjnych Kaspirowskiego, które oglądają przeważnie ludzie chorzy. A kto wie, co się stanie z naszymi dziećmi?

Uważam, że Kaspirowskiego nie można nazwać lekarzem, ponieważ jego działalność, jego seanse telewizyjne nie odpowiadają naczelnej zasadzie przysięgi Hipokratesa: „Nie szkodzić”. To, co robi Kaspirowski, jest swego rodzaju psychicznym Czarnobylem. Dzisiaj już weszło w użycie pojęcie bioenergetycznego zanieczyszczenia. Teleseanse Kaspirowskiego stanowią potężne i niebezpieczne źródło zanieczyszczenia bioenergetycznego”.

Wtrącając tu, że wypowiedź bułgarskiego naukowca stała się dla mnie dużym zaskoczeniem, nie ze względu jednak na doktora Kaspirowskiego. Traf chce, że miałem okazję poznać nieco bliżej zasady i metody sugestopedii, której twórcą — lekarz i psycho-terapeuta — Georgi Łozanow prowadzi od 20 lat Instytut Sugestopedii w Sofii. Prof. Łozanow — wyszedłszy z założenia, że

człowiek zaledwie w 10-15 procentach wykorzystuje możliwości swego mózgu — opracował metodę nauczania w stanie głębokiej relaksacji ciała i umysłu z równoczesnym stosowaniem szczególnych technik oddechowych i odpowiedniej oprawy muzycznej. Okazało się, że zniesienie blokad fizycznych i psychicznych, wpływających hamująco na proces uczenia się, może przyspieszyć aż 20-krotnie zapamiętywanie nowych informacji. W 1977 roku padł rekord w sofijskim instytucie: w ciągu jednego dnia grupę uczniów nauczono metodą Łozanowa 3000 nowych słów. Na trwałe: po upływie pół roku uczniowie — bez powtarzania i utrwalania — pamiętali przeciętnie 88 procent materiału, po upływie dwóch lat — 57 proc... Sugestopedia w nauczaniu języków obcych stosowana jest z powodzeniem w Moskwie, Norylsku, Nowosybirsku, Berlinie, Lipsku, od paru lat również i w USA, a tu nagle prof. Diczew twierdzi, że sugestopedia jest zabójcza. A może nie sugestopedia, lecz hipnoza? A może po prostu — telewizja?

Broń Boże, nie kpię!

Nie występuję też jako adwokat doktora Anatolija Kaszpirowskiego, od tego jestem daleki. Chcę tylko zwrócić uwagę, że w całym zgiełku wokół jego metody więcej bywa dowolnej interpretacji, — domniemań, hipotez i supozycji, niż faktów, na co on sam, niestety, nie pozostaje bez istotnego wpływu, gdyż i w jego wypowiedziach publicznych więcej wciąż interpretacji niż konkretnych faktów. Niechaj jednak broni się sam. Oto fragment jego wypowiedzi na tym samym forum: „Co by było, gdybyśmy zgrupowali opis wydarzeń po występach zespołów rockowych albo opis reakcji widzów, którzy między innymi poważnymi audycjami telewizyjnymi oglądają (...) filmy, na których leje się krew? Czyż ludzie nie płaczą na filmach albo się nie śmieją?

Po seansach telewizyjnych stwierdziliśmy bardzo małą liczbę niewłaściwych reakcji. Na Ukrainie na 55 milionów mieszkańców tylko kilkaset osobom kręciło się w głowie, bądź odczuwało jakieś lęki. Trzeba wziąć pod uwagę, że mogli być wśród nich również psychicznie chorzy, którzy nawet bez wpływu seansu już wcześniej niedomagali. Jeśli komuś trochę chwieje się głowa to, proszę wybaczyć, nie jest to trup, któremu już nie można przywrócić życia, jest to tylko jakaś przeważliwiona dziewczynka”.

I znów — dowolna interpretacja, bo skoro do telewizji kijowskiej nadeszło kilkaset listów od osób, które po seansach doktora poczuły się źle, nie można tej liczby odnieść do 50-milionowej widowni, lecz do ogólnej ilości 60 tysięcy nadesłanych listów, wtedy zaś promille przemienia się w procenty... Wyrwijmy się jednak z tego błędnego koła, przechodząc do konkretów.

Lesia Jurszowa.

Nie dotarłem do odpowiednich materiałów — jeśli takie były — w prasie radzieckiej, korzystając więc z obecności A. Kaszpirowskiego w Polsce pytam go, co można sądzić o oświadczeniach jego byłej pacjentki. Doktor oznajmia:

— Przecież pan sam może sobie odpowiedzieć na to pytanie... Proszę sobie wyobrazić 40-centymetrowe cięcie przez brzuch, w którym chirurdzy grzebią ponad trzy godziny — bez narkozy, bez znieczulenia. A pacjentka nie wpada w szok, nie traci przytomności, nie krzyczy z bólu, tylko śmieje się, żartuje, śpiewa „Podmoskiewskie wieczory”, a wszystko po to, żeby przypodobać się Kaszpirowskiemu? Kto mógł poważnie potraktować takie oświadczenie?... Postulowano się, żeby wszcząć nagonkę na mnie... Lesia Jurszowa okazała się, mówiąc ogólnie, bardzo niewdzięczna. Dzięki mnie przeprowadzono pomyślnie operację, przedtem próbowano operować trzykrotnie, zawsze kończyło się zapaścią... Ona w podzięce oskarżyła mnie o mistyfikację... Jurszowa udrdała sobie, że za ten telewizyjny przekaz wzięła masę pieniędzy, i uznała, że część jej się należy... Ot, prymitywna szantażystka... Dlaczego Olga Ignatowa, którą w podobny sposób — za pomocą mostu telewizyjnego: Moskwa — Leningrad — zabezpieczalem podczas operacji, nie zarzuca mi mistyfikacji, nie opowiada, że cierpiała straszliwe bóle, żeby pomóc mi w zrobieniu kariery? W ogóle, dodam, podobnych operacji z moim udziałem odbyło się łącznie 17... Zresztą, co ja będę kogoś przekonywał?... Proszę bardzo, niech pan zorganizuje telemost: Moskwa — Polska, a ja mogę powtórzyć taką operację. Tylko proszę znaleźć mi za pacjenta porządnego człowieka!

I tak moglibyśmy ciągnąć — da capo al fine. Przypomnijmy więc tylko, że w szczycie owej nagonki A. Kaszpirowski otrzymał zaproszenie z Polski, które przyjął z wdzięcznością, o czym raczył wspomnieć publicznie. Na konferencji zaś w Polsce powiedział:

— Przyjechałem do Polski na odpoczynek, zakładając jednak od razu, że w podzięce za gości-

nie zrobię, co będę mógł, żeby i tutaj pomóc chorym. Organizatorzy zaplanowali spotkania z ludźmi, którzy oczekują mojej pomocy!

A zatem — Kaszpirowski w Polsce. Takiej sensacji dawno nie było...

Polacy zetknęli się z nim po raz pierwszy za pośrednictwem telewizyjnego magazynu „Bliżej świata”. Ogromne zainteresowanie radzieckim uzdrowicielem zmobilizowało red. Halinę Aczkasową i Józefa Węgrzynę, szefa II programu TVP do zorganizowania retransmisji trzech seansów. Tysiące telefonów i listów, do polskiej już tym razem telewizji...

„Miałam wrzód żołądka, nie mogłam jeść, ważyłam 46 kilo. Teraz ważę 60 kilogramów.”

„Od niepamiętnych czasów cierpiałam na bóle głowy i żadne leki tego nie uleczyły, po trzecim seansie ustąpił ból głowy. Jakże to szczęście.”

„Z moich włosów zaczęła znikać siwizna. Bardzo się ucieszyłam, a byłam takim niedowiarakiem.”

„Stał się cud — mój osobisty. Obejrzałam dwa seanse i stwierdziłam, że moja powiększona tarczycza znacznie się zmniejszyła — obwód szyi zmalał z 39 do 35 cm.”

„Okazało się, że po seansach mam zaleczonych pięć zębów.”

„Tym razem czekałam z nadzieją, że minie ból za mostkiem i nie zawiódłam się.”

„Wydaje się po pana seansach, że mój synek, cierpiący na porażenie mózgowe, zaczął się do mnie uśmiechać.”

Ciarki zaczynają chodzić po plecach, gdy raz po raz spod obojczyka sensacji, jaka towarzyszy fenomenowi Anatolija Kaszpirowskiego, wзираć zaczyna ogrom nieśczęścia i beznamiętności, związanych z jego osobą.

Nie wolno grać na ludzkich uczuciach, nie wolno igrać z chorobą i śmiercią, lecz nie wolno zarazem odbierać ludziom ostat-

niej nadziei, jeśli nawet szansa na uleczenie jest znikoma — taki ton pojawia się u nas w dyskusji poprzedzającej przyjazd A. Kaszpirowskiego. Przypomnijmy niektóre wypowiedzi z telewizyjnej sondy H. Aczkasowej i J. Grzyba:

Doc. dr J. Aleksandrowicz: — W demonstracjach Kaszpirowskiego irytuje najbardziej to, że nazywa się je psychoterapią. Kaszpirowski bezprawnie występuje jako psychoterapeuta.

Dr B. Sanlecka: — Za Kaszpirowskim przemawia duża ilość doniesień pozytywnych. Ludzie sami na sobie sprawdzają, że to działa, a szkodliwości nie ma w tym żadnych.

Dr A. Guzek: — W metodzie Kaszpirowskiego nie ma nic nowego: hipnozę, sugestię stosuje się w leczeniu od kilku tysięcy lat i bywa ona niekiedy bardzo skuteczna. Zastrzeżenia natomiast budzą grupowy sposób traktowania ludzi.

Mgr A. Komorowski: — To bardzo dobra metoda psychoterapii z elementami hipnozy (bo to nie jest czysta hipnoza) na dużych grupach. Okazuje się, że telewizja potrafi nie tylko dramatyzować i niepokoić odbiorców, lecz także służyć leczeniu pacjentów, oczywiście tylko wtedy, gdy posługuje się nią taki specjalista, jak doktor Kaszpirowski.

Dr L. Malibruda: — Nie ma więc żadnej magii ani cudu, lecz naturalne działanie sugestii, która może pomagać, usuwać różnego typu dolegliwości, przynosić ukojenie. Czy rzeczywiście jednak leczy chorobę? Na to pytanie można by odpowiedzieć po pięciu latach, jak w wypadku badań każdego leku.

Dr A. Rogiewicz: — Telewizja okazała się zaskakująco skuteczną w przekazywaniu sugestii hipnotycznej.

Dr A. Kamińska: — Większość uzdrowień ma tło psychogenne.

Prof. dr K. Gibiński: — To, co wczoraj było niezrozumiałe i niezmiernie, jutro może stać się zrozumiałe i wymierzalne.

Red. M. Howiecki: — A w tej chwili najważniejsze jest coś innego, ten fakt: jeżeli po czymś takim wyzdrowiał choćby tylko jeden człowiek, względnie subiektywnie czuje się zdrowszy — to to usprawiedliwia już wszystko.

Prof. dr U. Radwańska: — Jako psychoterapeuta może więc Kaszpirowski pomóc wielu ludziom, nie można jednak mówić o żadnych cudach. Symptomatyczne jest to, że jeśli w jakimś kraju jest niski poziom medycyny, rośnie rola różnych uzdrowicieli.

Dr T. Kowalezyk: — Są osoby podatne na tego typu leczenie i mogą przez to otrzymywać pozytywne wyniki. Uzdrowienie jednak wszystkich z wszystkich chorób, właśnie w stylu tego uzdrowiacza rosyjskiego, jest pozabawione sensu.

A więc znów dyskusja nie tyle o skutkach, co o metodzie. Ciękawą są jej wszystkie, bo telewizyjny przekaz nie do końca ją pokazuje. Co innego zetknąć się z Kaszpirowskim osobiście, na żywo.

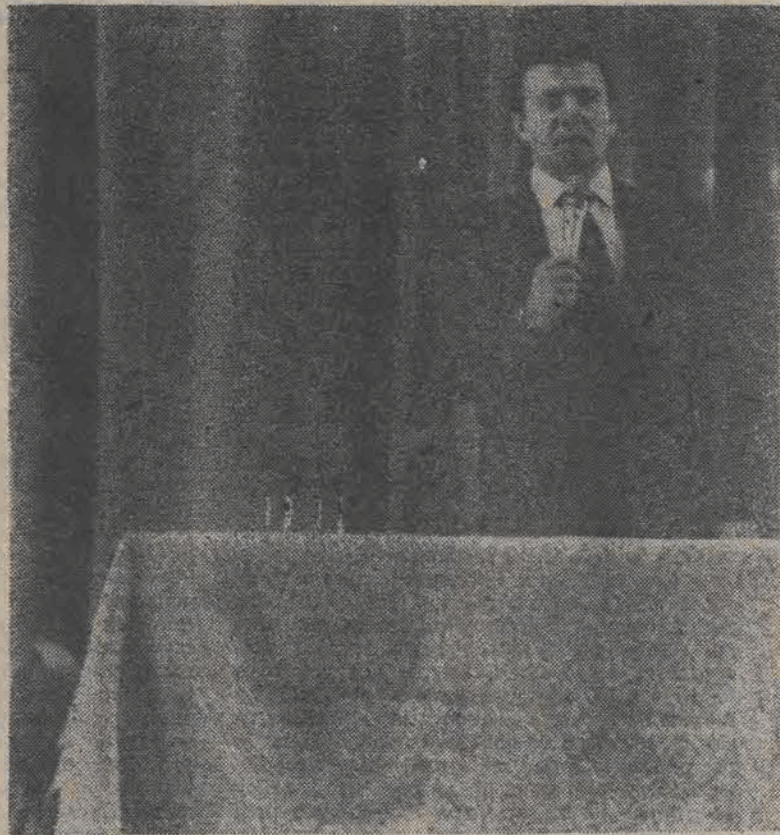


Foto: Grzegorz Gulasiński

Pestki dyni

Zdumiewające: żeby o mitycznej, amerykańsko-polskiej AKTORCE doorej sławy, zrobić taki żalostny gnioty obraz, który ma wszelkie znamiona cnałtury, idzie własnie w telewizyjnie niedziele. Pełnie raczej szarym migotaniem nudnego scenariusza, posrod nudnej scenografii, w takt (jaki tam takt — to wprost nietakt!) żenująco nieudolnej reżyserii, rejestrowany niezborna, nieciekawą, bez reszty i do końca banalną pracą kamer... Krystyna Janda — tu w roli Heleny Modrzejewskiej — nie może zapomniec chyba swoich doświadczeń z planu „Przesłuchania”, bowiem gra bardzo miernie, za to dobrze krzyczy i usiłuje — bez powodzenia zresztą — „psychologizować”. Jej postać na ekranie nie budzi krzty sympatii i to nie dlatego, że ma niesłubne dziecko, czy usiłuje poprawiać Słowackiego...

Jest takie angielskie powiedzenie: „Siodło z wysięgowego konia źle leży na krowie”. Otóż to.

Janda, wydaje się, nie rozumieć i nie czuć kogo właściwie gra, i po co. Prawdziwie dobra aktorka winna „wyjść” i ponad nieciekawy scenariusz i ponad presję złego reżysera — jakim bez wątpienia okazuje się być Jan Łomnicki — i mimo złej fotografii: tworząc mozaikę drobnych, dobrych epizodów — to się już zdarzało w historii kina, nawet polskiego (vide niektóre obrazy przedwojenne). A tu nic: miast rezonatora — drewno. Głuche drewno. W wywiadzie udzielonym na tychże łamach (nr 19.III.90), na pytanie Anny Robosz: — „Dzisiaj może zagrać pani w teatrze sprzątaczkę, jutro królową. Czy w związku z tym czuje się pani wybrańcem losu?”. Krystyna Janda odpowiada: — „Czy gram sprzątaczkę, czy królową, zawsze jestem sobą”.

Właśnie. Tym razem trzeba było zagrać tylko Modrzejewską, bo do tego została aktorka wynajęta. Ale widać humor artystce nie dopisał, i nawet siebie źle zagrała.

I może nie byłoby o czym mówić — wszak zdarza się, że artystę talent zawiedzie, lecz w owym filmie o „Modjeskiej” (tak Helenę nazywali w Stanach), wszystko zawiodło i to w sposób rażący, nawet jak na obyczaje polskiej sztuki kinowej.

Na wyjątkowy popis infantylności — zdaje się, że infantylności i niewiedza, to jej specjalności — pozwoliła sobie Izabella Cywińska, występując w TV jako „pani minister, która pyta”... (12.05.90). Dewiza, „kto pyta nie błądzi” nie miała w owym programie najmniejszej racji bytu, ani w odniesieniu do zgromadzonych działaczy i twórców kultury, ani też tym bardziej do samej pani minister. Pierwsi wykazali zdumiewające zadowolenie z własnych dokonania, pani minister wyraziła nadzieję, że wszystko będzie dobrze, o ile nie będą się do niej zwracać o pieniądze — a sami sobie będą pomagać i radzić. Wszyscy wspólnie doszli do wniosku, że kulturze polskiej na prowincji i w ogóle, nic nie zagraża i jak już będą nowe samorządy — to będzie dopiero fajnie! Na dowód zbratania twórców i animatorów kultury z władzami, książdż-reżyser jasełek ofiarował pani minister „chustę Weroniki” ze swojego programu.

Ta zabawa w ministrowanie i rządzenie byłaby nawet do przyjęcia, jako przejaw Gombrowiczowsko-Mrozkowskiej koncepcji świata, gdyby działała się u Eskimosów, a nie u nas.

ANDRZEJ GRUN

— W Teatrze Wielkim po przedstawieniu baletu „Grek Zorba” Mikisa Theodorakisa — według powieści Nikosa Kazantzakisa — rozlegają się kilkudziesięciminutowe oklaski. Skoro tak jest — to dlaczego 10 maja odbyło się ostatnie przedstawienie?

— Ostatnie w serii wiosennej, a dlatego, że prawa do „Zorby” są bardzo drogie. Kupując je w agencji francuskiej, która ma do tego prawa, staram się maksymalnie grać przedstawienie przy minimalnej opłacie. Powodzeniem „Zorby” nasi widzowie potwierdzili jeszcze raz, że są wspaniałą publicznością. To, że trzeba było (przy prawie zupełnym braku informacji) zorganizować aż dodatkowy spektakl świadczy, że ludzie chcą takich przedstawień, że nie chcą rzeczy ponurych. Po prostu: chcą wierzyć w to, do czego namawiamy ich również poza teatrem — że będzie lepiej, że warto żyć... I że ta radość powinna płynąć również ze sceny. Właśnie „Zorba”, po raz któryś nam podpowiada, że mamy w Łodzi zespół wysokiej, światowej klasy. To mnie zobowiązuje do utrzymania tego zespołu w tym porządku, w którym się znalazł. Zespół to nie

szej relatywnie sytuacji. To zmusza mnie do organizowania dla nich pracy dodatkowej, dla wyrównania poziomu dochodów, a o to niełatwo.

— Na ten temat słyszy się różne głosy...
— Szczerze powiem: coraz gorzej czuję się w Łodzi, chociaż nadal deklaruje, że wszystko wytrzymam! Jeżeli załoga wytrzyma, to i ja wytrzymam. I niesprawiedliwość, i głosy, które bezsensownie mnie atakują. Wytrzymam, ponieważ prowadzę teatr przy otwartej kurtynie i każdy widz może mi, co miesiąc o określonej godzinie, zadać każde pytanie na warsztatach. I ludzie to robią! I nie zdarzyło się — a było ponad czterdzieści edycji warsztatów — abym nie wywiązał się z jakiegokolwiek postawionego tam tematu. Robienie więc wokół mnie złej atmosfery, i to przez ludzi, którzy się tego nauczyli w minionych czasach i umieją to lepiej niż ja umiem się bronić, spowodowało, że postanowiłem nie zwracać uwagi i funkcjonować dalej, choć z zażenowaniem myślę o tym wszystkim. Zenuje fakt, że w sytuacji, w jakiej się znalazł nasz kraj ma miejsce taka eksplozja bezsensownych kom-

Plotki krążą różne, groźne i śmieszne, których dobrze wychowani ludzie nie powtarzają

Artysta musi mieć dom

Rozmowa ze SŁAWOMIREM PIETRASEM — dyrektorem Teatru Wielkiego

tylko balet, to również szalenie sprawna orkiestra, dobrze śpiewający chór, czyli wszystko to dzięki czemu możemy przetrwać jako organizm operowy. Gwiazdy zawsze są do zaangażowania, choć na szczęście mamy je, lecz gdy mamy świetny chór, balet, orkiestrę — przeżyjemy. Bo zawsze można kogoś jeszcze zaprosić.

Przyszły sezon będzie dla nas najtrudniejszy, jaki można sobie wyobrazić. Z jednej strony, ubezpieczając się przed bezrobociem zespołu postanowiłem w wielu miejscach Europy, i nie tylko, pokazać nasze dokonania, z drugiej zaś chciałbym obronić to, co jest dla nas najcenniejsze — wierność i miłość łódzkiej publiczności, która może nam zarzucić, że będą okresy, kiedy nas nie będzie. Jednak z punktu widzenia ekonomicznego, wszystko to pracuje na nas, dzięki temu mogą wynajmować teatr i zarabiać. Tak więc w teatrze będzie się działo mnóstwo rzeczy szalenie atrakcyjnych i oczekiwanych przez łódzian, natomiast będzie mniej naszych spektakli i to trzeba zrozumieć. Tak w każdym systemie musi postępować dobry menażer, aby przetrwać czas trudny. Oczywiście, bez obniżania rangi tego, co robimy. Premier będzie ciut mniej — cztery-pięć, a więc niemało, choć w porównaniu z naszymi ambicjami, tempem, do którego przywykliśmy... Ostatni sezon zamknęliśmy liczbą dwustu siedemdziesięciu kilku spektakli! Proszę mi pokazać inne miasto w Europie, które ma tyle spektakli operowych i baletowych rocznie. Nikt tyłu nie ma!

— A propos warunków. Jak się pan odnajduje w dzisiejszej sytuacji?

— Nie narzekam. Bo mam bardzo cierpliwą załogę i bardzo wierną temu, co robi. Ale jesteśmy na granicy minimum płacowego. Gdyby nie wyjazdy zagraniczne i oszczędności na dietach, to nie utrzymałbym tego zespołu, który oszczędza nie tyle na dietach, gdyż płacę honoraria i niektórym się nawet bardzo dobrze powodzi. Lecz to powoduje szalone rozwarstwienie zespołu. Ci, którzy nie mogą mieć propozycji pracy za granicą — np. wielu wartościowych pracowników obsługi widowni, ekipy utrzymującej sprawność gmachu, wielu wspaniałych rzemieślników teatralnych — są w gor-

pleksów nieudaczników i to dotycząca osób, których praca jest widoczna.

Jest pan pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiam. Jeżeli pozwoli mi pan, to publicznie wrócę do kwestii mojej wypowiedzi telewizyjnej, z której wzięto pierwsze i szesnaste zdanie, a środkowych nie ujawniono. Zresztą, gdyby ujawniono, wcale bym się nie odżegnywał. Jeżeli mi bowiem kiedykolwiek jakkolwiek siła polityczna wygwizda kogośkolwiek w tym teatrze, to zawsze będę za moim artystą! Po to jestem. Nie, żeby popierać jakiegokolwiek trendy polityczne, począwszy od zagorzałych komunistów, skończywszy na Bóg wie jakich prawicowcach. Będę zawsze bronił swoich artystów bez względu na pleć, nazwisko i dokonania. Będę bronił słabego artystę i wielką gwiazdę dlatego, że teatr nie służy tym sprawom! Natomiast wszyscy, którzy próbowali zrobić z tego afery, niech przyjmą do wiadomości, iż to ja widziałem konkretne trzy osoby, które kiedyś wygwizdały Kazimierza Kowalskiego i nadal uważam, że ci ludzie zachowali się wówczas jak hołota. Używając tego słowa nie miałem na myśli nikogo innego jak te osoby, które zerwały spektakl w teatrze. Zerwały ze względów politycznych.

To, co się stało w tym kraju, wszystkie zachodzące w nim przemiany, to rzecz święta, również dla mnie — człowieka, którego była władza kilkakrotnie z tego teatru chciała wyrzucić, zanim została usunięta. Wtedy jedną rzecz sobie wymyśliłem „na wyrzucanie” — jakość pracy mojego zespołu. Nawet nie mojej — mojego zespołu. Do tego namawiam wszystkich. I do żelaznej konsekwencji w takich momentach. Jako człowiek teatru mieszczę się w każdej rzeczywistości teatralnej, ale będę zawsze strzegł, żeby ta rzeczywistość była tylko teatralna. Teatr jest organizmem, który ma służyć społeczeństwu. Jeżeli służy dobrze, to należy go utrzymać w tej postaci, w jakiej jest. Nie boję się jakichkolwiek zmian strukturalnych, nie boję się nawet biedy w teatrze. Ludzie chętnie zniosą nawet biedę, jeżeli wiedzą, dlaczego ją znoszą. Tak samo jak bardzo już ogołoceni z pieniędzy łódzianie tłumnie kupują droższe bilety na

„Zorbę”. Nie idzie więc o to, lecz o wsparcie kraju, by mógł przetrwać i nie likwidował jakichkolwiek dokonań kulturalnych. Nie mówię tu we własnym imieniu, reprezentuję bowiem kombinat teatralny, który trudno byłoby zlikwidować. Myślę przede wszystkim o małych, a także wielkich duszą przedsięwzięciach artystycznych. Natomiast przestrzegam, że robienie bezrozumnej oszczędności na teatrze może spowodować, że będzie tak nazwany tylko dlatego, że stoją mury. Teatrem są ludzie i ludzi musimy chronić, osłaniać. Również miasto musi sobie zdać sprawę, że gmach Teatru Wielkiego był zbudowany największym wysiłkiem tego społeczeństwa. I jeżeli po pierwszych wspaniałych sześciu latach nastąpi dla teatru lata straszne, po których wreszcie przez ostatnich dziewięć sezonów coś powstało, ustabilizowało się i krok po kroku dochodziło do pewnych wyników — to jest to zasługa określonej ekipy ludzkiej, z której niczego nie wolno ujmować. Wystarczy by kogokolwiek w niej zabrakło, żeby reszta stała się bezwartościowa. W ogóle uważam, że mimo ciężkich czasów wchodzimy w okres prawdziwego sukcesu naszego teatru. Tylko że sukces zdobyć — to nasz obowiązek, a sukces utrzymać — to nasz problem.

— Jak zamierza go pan utrzymać?

— Przede wszystkim nie pozbawiać się żadnego składnika wartości artystycznych, a szczególnie ludzi. Jeśli to się uda, to ciągle jesteśmy teatrem, który w skali Polski wykazuje się największymi liczbami widzów na tzw. jednostkach produkcyjnych. Nasze starania impresaryjne przynoszą już pewne efekty ekonomiczne, a odkładane na odpowiednim koncie środki, jakkolwiek nie utrzymują teatru, jednakże pozwalają na opłacanie praw autorskich, kupno sprzętu itd. Przyszłe dwa sezony będą takimi sezonami, w których jeśli okaże się, że z polskiej kasy nie da się pokryć potrzeb finansowych naszego teatru, to teatr będzie mógł właściwie cały czas występować poza granicami. To jest wizja ekstremalna, która przyniesie nam pewien boom artystyczny, lecz nie przyniesie sławy w tym właściwym rozumieniu słowa. Stawa to sukces, a sukces jaki np. osiągnęliśmy w Tuluzie, Marsylii czy w RFN, albo spodziewany jesienią, kiedy pojedziemy z „Diablami z Loudun” Krzysztofa Pendereckiego, ma dla nas wartość rzetelną wtedy, kiedy wiemy, kogo i dlaczego reprezentujemy. Jeżeli te występy będą się tylko po to odbywać, żebyśmy mieli za co jeść, to pocujemy się wędrownymi, niczymi Cyganami. Artysta musi mieć poczucie własnego domu, wtedy czuje się silny. Bezdomny przestaje być tym, kim jest. Mogę podać przykłady i zespołów, i wielkich indywidualności, np. Szalapina, który pod koniec życia mówił tylko o jednym, że nie może pojechać do Petersburga czy Moskwy. I umarł chałturząc zapijaczony nie dla pieniędzy, lecz aby móc śpiewać rosyjski repertuar. Albo zespoły, które w

jakimś sensie stały się bezdomne. Podam może ryzykowny przykład: balet Teatru Bolszoi od pięciu lat — na skutek bałaganu i nieporozumień — nie dał ani jednej premiery, w rezultacie tańczą coraz gorzej. Stali się wyjąłwieni artystycznie, bezdomni, bo nie robią pięciu premier rocznie we własnym domu. Zrobimy, jedziemy, pokażemy, wracamy — taka jest mentalność artysty. Dlatego nie ma artystów niepracujących i bez domu.

— Wspomniał pan o sukcesach zagranicznych, jak się one mają do złośliwych (może) głosów, wedle których pański teatr występuje w najgorszych warunkach i za tanie pieniądze, często za diety?

— Nie przyjmujemy propozycji za diety, po prostu nie pracujemy już z „Pagartem”. Każdy artysta reprezentujący nas za granicą musi wziąć w macierzystej instytucji urlop bezpłatny (w czym znajdują dodatkowe źródło oszczędności funduszu plac), a placę mu taką sumę za granicą, że przynosi mu ona jedynie zaszczyt, dlatego nie będę niedyskretny wymieniając publicznie sumy. Za każdy dzień pracy we Francji placę 200 franków, zaś w RFN — 60, a ostatnio 70 marek. To otrzymuje szeregowy pracownik, bowiem soliści, dyrygenci, gwiazdy śpiewające — to są osoby angażowane i honorowane według obowiązujących w danym kraju stawek. Zdarza się, że otrzymują więcej. Tak więc dyskusja wydaje mi się bezprzedmiotowa. O zainteresowaniu impresariów zagranicznych naszymi dokonaniem świadczą pierwsze rzędy zajęte w czasie każdej pierwszej i drugiej premiery. Czy przyjeżdżają na skutek nieugiętej woli współpracowania z nami, czy zachęcenia naszymi ofertami — to już jest moja tajemnica. Ważny jest skutek. Opinie nieprawdziwe, oszczerze mnie nie interesują, wkalulowałem je w swoje działanie.

Płotki krążą różne, groźne i śmieszne, których dobrze wychowani ludzie nie wygłaszają. Gdyby były prawdziwe, to zakwestionowałaby to moja załoga, która chce we mnie widzieć takiego szefa i tak opłacanego jak oni. Sprawa np. wyjazdów, nie ma impresaria, który by mnie nie zapraszał, żebym jeździł z zespołem, lecz na żadnym tournée nie byłem w pełnym wymiarze, jeśli to dwa-trzy dni i muszę wracać i pilnować spraw na miejscu. Zresztą jest to niemożliwe, aby człowiek mojego typu jeździł od miasta do miasta i patrzył jak inni pracują. Wtedy bowiem moja praca skończyła się w jakimś sensie i zaabsorbowany jestem już następnym przedsięwzięciem. Mój tryb pracy jest zupełnie inny. Słowem, teraz kiedy ten cały instrument operowy zaczął funkcjonować i zaczyna się prawdziwe koncertowanie, trzeba uważać, żeby niczego nie zepsuć, nikogo z tych świetnych ludzi nie stracić...

Rozmawiał:
MARIAN ZDROJEWSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński



Kronika

W Łódzkim Komitecie Stronnictwa Demokratycznego 17 bm. odbyło się spotkanie działaczy SD ze środowiska kultury z wiceminister kultury i sztuki Krystyną Marszałek-Młynczyk. Dyskutowano o perspektywach rozwoju kultury w naszym mieście, w kontekście zagrożeń, jakie niesie urynkwienie gospodarki. * Andrzej Rajchert, (43 lata), z wykształcenia prawnik, sprawował stanowiska dyrektorskie m.in. w „Polbucie” i „Stomilu”, został dyrektorem generalnym spółki Międzynarodowe Targi Łódzkie. Gratulujemy! * Bardzo miło nam donieść, jak wyczytaliśmy w „Expressie”, iż do ulubionych lektur mecenasa Janusza Rusiniaka (od 1980 r. związanego z „Solidarnością”) wybranego niedawno prezesem łódzkiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko—Izraelskiej należy m.in. nasz tygodnik * Ogólnopolski Przegląd Teatrów Dziecięcych „Dziatwa '90” odbywał się w naszym mieście. Znacznie skromniej niż w poprzednich latach, z powodu braku funduszy, obchodzone były w drugiej dekadzie maja tradycyjne już Dni Pabianic. Organizatorzy zmuszeni byli zrezygnować nawet... z wyborów miss Pabianic. Najbardziej więc rozczerawali się panowie * Z okazji otwarcia w Muzeum Historii Miasta Łodzi stałej ekspozycji poświęconej Arturowi Rubinsteinowi oraz zorganizowanej przez tą samą placówkę wystawy dla uczczenia 50. rocznicy śmierci mjr Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, wybite zostały upamiętniające medale. Są one do nabycia w kasie MHML. Zainteresowanym, szczególnie zaś numizmatykom, radzimy się pośpieszyć z zakupem ze względu na niewielką ich ilość. * Na wyprzedzący „dzień sztuki” zalegających magazynów warszawskiej „Zachęty”, hitem stał się portret Albina Siwaka wyceniony na 3 mln złotych. Któż by nie chciał mieć takiej pamiątki z odchodzącej w przeszłość epoki. * Pod koniec maja nakładem Wydawnictwa „Polonia” ukaże się interesująca książka Zbigniewa Mierzwinskiego pt. „Generałowie II Rzeczypospolitej”. Autor zaczął do niej zbierać materiały 12 lat temu i udało mu się przeprowadzić rozmowy z wieloma, nieżyjącymi już niestety, sławnymi naszymi dowódcami. Publikacja ta zawierać będzie 46 sylwetek generałów i ponad 100 ilustracji. Radzimy poszukiwać jej w tych dniach w księgarniach. Pojawił się też w kioskach nieruchliwego „Ruchu” pierwszy numer „Skandali bez kurtyny” — pisma adresowanego do wszystkich, dla którego ma nie być żadnych tematów tabu. Naczelnym redaktorem nowego, ciekawie się prezentującego czasopisma, jest Aleksander Minkowski, wydawcą zaś Agencja Wydawnicza „Interster”. Znaleźliśmy w tym numerze aż dwa łódzkie materiały; o głośnej aferze związanej z budową Szpitala-Pomnika Matki Polki oraz otwartych w naszym mieście pierwszych sex-shopach. Ponadto polecamy lekturze: „Wyznania żony gen. Czesława Kiszezaka” i „Dom publiczny w Polsce”. * Grupa literacka „Centaur”, działająca przy DDK Łódź-Górna (ul. Siedlecka 1) ogłasza konkurs pn. „Monte Casino” (poezja, proza, ewentualnie esej) — utwory do 6 str. maszynopisu, nie drukowane i nie nagradzane. Termin zgłaszania prac (w 2 egz. maszynopisu) do 18 czerwca br. * Klub Doskonalenia Siebie „Kraąg” przy Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Górna (ul. Siedlecka 1) zaprasza do współpracy (poniedziałki godz. 19 lub kontakt telefoniczny 84-66-47 w godz. 13—20).

Oprac. JAK

(Kuch Wołnych Demokratów zgłosił do wyborów samorządowych w Łodzi 6 kandydatów z własnej listy wyborczej). Zaprosiliśmy całą szóstkę oraz lidera RWD do redakcji, aby porozmawiać o motywach kandydowania oraz o przyszłości miasta, które tę przyszłość ma samo kształtować. W dyskusji udział wzięli kandydaci na radnych:

— **CZESŁAW CIEŚLAK** — technik elektryk w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego,

— **ZBIGNIEW CZERWIK** — chemik, pracownik naukowy Politechniki Łódzkiej,

— **BRUNON KAPALA** — matematyk, rzemieślnik,

— **BOGNA MAURER** — nauczycielka w XIII Liceum Ogólnokształcącym,

— **ANDRZEJ MAZUR** — socjolog,

przepisy wprowadzające ustawę o samorządzie terytorialnym, z wyjątkiem art. 5 ust. 4 i art. 17, które wchodzi w życie z dniem ogłoszenia". Tu trzeba wyjaśnić, że art. 5, ust. 4 mówi o możliwości wyodrębnienia w „miastach, w których istniały w dniu 1 stycznia 1990 r. wyodrębnione administracyjnie dzielnice” gmin i że decyzje o tym podejmuje prezes RM. Natomiast art. 17 mówi o tym, ilu radnych wybiera się w jakich gminach. I to wszystko. Nie uchwalono jednak owych przepisów wprowadzających, w związku z tym szereg spraw nie jest przesądzonych. Mamy więc do czynienia z ustawowym dzwoniącym. Wybieramy samorząd terytorialny, który może nie mieć prawnej podstawy do działania.

Dotyczy to na przykład własności komunalnej. Gmina ma być samowystarczalna finansowo. Niektórzy więc sądzą,

ktos wiedział lepiej, ktos miał rację. I to była cała filozofia radnych i posłów w minionych czasach. Dzisiaj już nie wystarczy. Powołam się na własny przykład. Chodzi o sposób zaopatrzenia w ciepło Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki. Razem z kolegą znaleźliśmy w projekcie bzdurę. I zaczęło się. Posadzono nas o najprzeróżniejsze zbrodnie, a myśmy proponowali inne, zdecydowanie lepsze rozwiązanie. I trzeba było poszukać prawnych możliwości, aby doprowadzić do zastosowania rozwiązania dającego kilkusetmilionowe oszczędności. Myślę, że pytając fachowców można uniknąć wielu błędów i nieporozumień. Takim nieporozumieniem był pomysł ze sprrowadzaniem ciepła z Belchatowa. Dzisiaj już prawie zapomniane. Podobnie było z problemem ciepła dla osiedla w Smulsku. Miała w tym rejonie stać elektrociepłownia

wał o wysokości uposażenia lekarza. Potem to się rozmyło, zrobiła się z tego stała premia, bo bano się rozwarstwienia wśród lekarzy, kiedy jedni będą zarabiali dużo, a inni mało. Chodziło przecież o to, aby ci nieakceptowani odeszli z otwartego lecznictwa. Nic z tego nie wyszło. Warto do tego pomysłu byłoby wrócić. Zresztą przebudowa struktury służby zdrowia od dawna jest niezbędna. I tego się nie uniknie. Dla przykładu. Łódź jest bardzo rozpiętym miastem. 35 procent mężczyzn w wieku produkcyjnym albo już jest alkoholikami, albo im to grozi. Zdarzają się tu 14-letni narkomani. Wydaje się miliony złotych na leczenie odwykowe, ale wszystkim wiadomo, że po leczeniu w Kochanówce jej pacjenci szybko wracają do nałogu. Trzeba więc zamiast leczyć tych, którzy rokuja małe nadzieje na wyleczenie, zająć się ludźmi z problemem alkoholowym. To dałoby dobre rezultaty, ale okazuje się to wszystko tak bzdurnie zorganizowane, że tylko rozłożyć ręce. A tego już robić nie wolno.

Cz. Cieślak: — Samorząd musi oprzeć się na fachowcach. Im naprawdę trzeba zaufać. Odwołam się do przykładu najbardziej mi bliskiego, do gospodarki wodą w Łodzi. Wiadomo, że wody nie ma i bajka jest opowieść o tym, że Łódź leży na wielkim podziemnym jeziorze. Pozostaje nam jedno: szanować wodę! Tu podam porównanie. W Łodzi średnio używa się 230 litrów, a w Hannoverze — 130. Co to znaczy? To znaczy, że w Łodzi około 30 procent wody po prostu leje się bezużytecznie z kranu do zlewu. Powinniśmy zatem pójść za rzeczywistie zużyta wodę. Może wtedy znów pojawiłby się w osiedlach technicy, którzy sprawdziliby, czy wszystkie uszczelki są dobre. I ludziom by też na tym zależało.

M. Tomczyński: — Już choćby z tego widać, że mienie komunalne to ogromne obciążenie miasta. Samorząd będzie się musiał z tym jakoś uporać. System przesyłowy energii cieplnej w Łodzi jest już na granicy śmierci technicznej. A czym jest dla miasta ten system — nie muszę wyjaśniać.

K. Głogowski: — Wracamy do punktu wyjścia, czyli do pieniędzy. Samorząd stanie wobec problemu, skąd brać pieniądze. Bo nie będzie miał żadnego wpływu na podział pieniędzy z centralnego budżetu, a system dotacji jest zupełnie nieznanym.

— Niektóre dziedziny gospodarki miejskiej wymagają niestety dotacji: oświata, kultura, służba zdrowia. Poza tym są rozpozyczone niezbędne nie tylko w Łodzi inwestycje, jak choćby Grupowa Oczyszczalnia Ścieków. Jak sobie z tym poradzi samorząd?

Cz. Cieślak: — Słyszę takie powiedzenie: „Gdybym został radnym, to wszystko zmienilibym, ale dajcie mi do tego ustawy i pieniądze”. Rzecz jednak nie w tym. Trzeba znaleźć taki sposób działania, aby samemu to osiągnąć, a nie czekać, aż będzie nam da-

ne „z góry”. Że pojawi się między miastami i będzie czynnikiem pobudzającym?

— **Który z nich?**
Cz. Cieślak: — Rencja musi do jednej strony sprzecznych interesów do wspólnej. GOS — to tylko Łódźka. I jak obchodzi? Ryka się z tym. A przecież województwa ma. Inny przykład. Wódę z Pilicy, a nam powiedzcie woda. Tak było ciem głębinową wie Mazowiecką w rezerwie. Źródła. Mamy tych w Rokicynie. Tejsi mieszkańcy, że to ich im jej nie zabiją.

— **I jak rozwiązać interesy?**

Cz. Cieślak: — Tylko sprzeczność. One się też załame. Może z Rokiciny, ale też może z kicin wiele zrodożym osrodkie czego nie wykorobku nauki przyrody? Nie zanieczyszczony nie. Każdy jest własnym, wąską to nie daje Neru, ani Bzmu, się, gdy każdy obil na własnym trzeba wspólne kich wspólne można znaleźć.

M. Tomczyński: — Łódzkie elektryki duszą się od nich w ościennych nie można, bo tuja. Powstał wykorzystania podnietwie, to szłość. Natomiast wozic pyły, to przetarg z gminami. My składanie pyłowie dacie to i tamto.

Uważam, że wielki nie wykonal tencjal środków, które często przykład przedca z moc zgłosz od lat nie wyoplate za tę cenę produktu, nie tylko ale również.

A. Mazur: — tuacji gospodarsie okazuje wian na przykład, że w branżach zużycie rządzeń i budyk dekapitalizacja czyla już 80 procent, gdyby sporządziła — fachowców — zdekapitalizowan ku miasta. To dlatego, że przyrzebach i przy możliwościach nia daje to szanalne gospodarczo się posiada.

— **Trochę wyci Łodzi, trochę lamy, więcej wbach niż możli**

Nie chcemy z nikim walczyć, chcemy współpracować dla dobra Łodzi!

— **MAREK TOMCZYŃSKI** — inżynier ciepłownictwa w Zakładzie Sieci Ciepłej, oraz

— **KAROL GŁOGOWSKI** — adwokat, lider Ruchu Wołnych Demokratów.

Dyskusję prowadziła i opracowała Bogda Madej.

— Jesteście uczestnikami Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego. Dlaczego więc startujecie do wyborów z własną listą?

K. Głogowski: — Ordynacja wyborcza dopuszcza możliwość zgłoszenia kandydatów w innej kolejności niż alfabetyczna, to znaczy w kolejności preferencyjnej. I to między innymi stanowi naszym zdaniem o ograniczonej demokracji. Z tym walczyliśmy przez lata, kwestionując instytucje promocji tzw. Kolegiów Wyborczych ustalających listę wyborczą na innej zasadzie niż układ alfabetyczny. Dlatego nie mogliśmy się zgodzić na kandydowanie z listy zbudowanej według dawnych regul.

Zb. Czerwik: — A poza tym jesteśmy lokalnymi patriotami i sprawy miasta leżą nam na sercu. Mnie na przykład marzy się Łódź jako miasto europejskie. Wiem, że taka przemiana wymaga czasu, ale jest to możliwe i chciałbym dla osiągnięcia takiego celu pracować. Różne instytucje w Łodzi mają zagraniczne kontakty. Z wymiany doświadczeń powinny wynikać korzyści dla miasta a nie tylko dla tych instytucji.

Ważna dygresja formalna

K. Głogowski: — Zanim przedstawię swoje racje, czuję się zobowiązany wniesć pewne wyjaśnienie. „Ustawę o samorządzie terytorialnym” kończy artykuł 103, który głosi, że „Ustawa wchodzi w życie w terminie i na zasadach określonych ustawą —

że własność komunalna będzie podstawą tego finansowania. A przecież własność komunalna może być zarówno źródłem finansowania gminy, jak i poważnym dla niej obciążeniem. Gdy przyglądam się ulicy Piotrkowskiej, to zastanawiam się skąd miasto weźmie pieniądze na jej renowację. Potrzebna tu będzie jakaś fundacja.

A. Mazur: — Wyjaśnijmy może przy okazji inne nieporozumienie. Otóż często mówi się, że Łódź odprowadza do centralnego budżetu 80 procent powstałych tu pieniędzy. Ale przecież te pieniądze wracają do Łodzi jako dotacje na utrzymanie oświaty, służby zdrowia, policji i administracji. Wynika z tego, że Łódź odprowadza 80 procent, a zostaje tu tylko 20 procent zarobionych tu pieniędzy. Tymczasem rzecz idzie o 3 procent dochodu narodowego. Otóż Łódź odprowadza do budżetu centralnego 10 procent podzielonego dochodu narodowego, a otrzymuje 7 procent. Chodzi więc o proporcję 10 do 7, a nie 80 do 20. A poza tym nie wiemy, jakie będą źródła finansowania działalności rady miejskiej. Mało wiadomo jeszcze o podatku indywidualnym, który ma być podstawą tego finansowania.

K. Głogowski: — Taki stan wiedzy o podstawach finansowych rady miejskiej czyni całą dyskusję dość iluzoryczną.

— Wybory stają się jednak faktem i trzeba podjąć ryzyko działania w takich warunkach, jakie powstaną.

Najprościej zapytać o zdanie fachowców

M. Tomczyński: — Myśmy się przez lata nauczyli działać na zasadzie: „jakoś to będzie”. Teraz trudno nam się od tego odzwyczeić. Nauczyliśmy się, że ktoś za nas decydował,

EC — V, ale jej nie będzie. Można na Retkini, gdzie stoi rzeźba bocianów, wybudować przepompownię, ale opór urzędniczego autorytetu sprawę blokuje, bo może to naruszyć architekturę osiedla. Przecież, gdyby zapytał fachowców, ci by mu powiedzieli, że przepompownię można wybudować nawet pod ziemią. Mam nadzieję, że do rady miejskiej wejdą ludzie, którzy będą umieli pytać fachowców, a jednocześnie będą to ludzie z pasją, uparci, którzy nie będą się wstydzili tego, że muszą się uczyć spraw miasta.

Bogna Maurer: — Upór jest potrzebny, ale i otwartość na wszelkie koncepcje, na potrzebę konsultacji i dobrą wiarę w podejmowane decyzje. No i przede wszystkim wytrwałość. Podejmowano do tej pory wiele różnych uchwał. Ale często na tym się kończyło. Nie pilnowano już ich realizacji.

A. Mazur: — Erich Fromm wymyślił termin „ucieczka od wolności”. Człowiek zrzuca się suwerenności politycznej, intelektualnej. Robi to dla świętego spokoju. Nam też niektórzy ludzie mówili przy zbieraniu podpisów: — podpiszę, ale do wyborów nie pójdę, bo co to zmieni?

Cz. Cieślak: — Te 150 podpisów, które trzeba było zebrać, dla wielu ludzi, którzy chcieli kandydować były poważną barierą.

B. Kapala: — Większą niż 3000 podpisów w kampanii wyborów do Parlamentu.

K. Głogowski: — Tak, upór i konsekwencja w działaniu są ważne. Były przecież dobre pomysły, były pozytywne przedsięwzięcia, które wypaczało się w realizacji. Ot, choćby i wolny wybór lekarza.

A. Mazur: — Znam to. Początkowo chodziło o to, że ilość pacjentów miała decydo-

nie nadzieje, konkurencja wojewódzki zdrowy... Ma samo- Nie. Konkuru- prowadzić z o zderzenia sów, z dru- interesów. astycja nie go to jed- z sama bo- problemem. interesowane by pomóc. prowadzamy e ktoś może e to ich ednym uję- w Tomaszo- które jest Niebieskich eć głębino- ch, ale tam- powiedzie- da i żeby ac tę sprze- To jest nie e interesów. bają. Łódź brać wodę, rzecz Ro- Łódź jest nauki, dla- stywać do- zech ochrony ko Ner jestaura rów- działa we- zakresie, a tnatu. Ani nie oczyści dzieje to ro- dniczku. Po- lania. I ta- interesów — A py- cieplownie w. Składać gminach nie protes- węc pomysł w bu- zszcze przy- gdyby wy- zba wygrać szerególnymi woliśmy na de wy nam ół nas jest ystany po- możliwości, niemy. Na torstwa pla- ną, której zystują, a wliczają w rzezień to motrawstwo, czciwość. rochę o sy- Łodzi jak ty. Wladomo y niektórych maszyn, u- bów — czyli — przekro- ent, byłoby rada miejska rzy pomocy wentaryzacje go mająt- byłoby ważne snających pot- malejących zaspokajają e na racjo- owanie tym, ty o situa- się domys- ny o potrze- ściach. Ja-

ki więc model ma przyjąć rada? Ma być rejestratorem nadziei i potrzeb oraz skarg i zażaleń? Czy też szukać takich inicjatyw, które w trudnych warunkach dawałyby maksimum możliwości działania dla rozwoju miasta?

Cz. Cieślak: — Powinna to być płaszczyzna, na której będą zderzały się różne interesy. Trzeba dopuścić do wolnej gry interesów różnych środowisk zawodowych czy społecznych. Dać im szansę prezentowania tych interesów. W trakcie ścierania się tych interesów musi dojść do ich hierarchizacji. Wszyscy czegoś chcą, ale wszystkim naraz dać nie można.

Bogna Maurer: — Tylko wtedy przegrają najsłabsi. Kto na przykład będzie bronił oświaty? Każdy sądzi, że zna się na oświacie i każdy uważa, że nauka może się odbywać w każdych warunkach, ale nikt nie potrafi określić kosztów społecznych takiego stanu. I dlatego w szkole jednocześnie odbywa się nauka i... remont kapitalny.

Cz. Cieślak: — Chodzi przede wszystkim o to, aby te interesy pojawiły się, aby rada stała się płaszczyzną porozumienia w sposobach ich rozwiązywania. Dla mnie to nie jest wielkie niebezpieczeństwo, że ludzie będą się spierały w swoich interesach. Gorzej, że część ludzi może powiedzieć, że ich to w ogóle nie obchodzi, bo do tej pory nie się nie zmieniło, i zapewne nie się dalej nie zmieni. Znowu pojawiły się wielkie nadzieje, które mogą być niespełnione. To byłoby najgorsze.

B. Kapala: — To bardzo ważne, aby ludziom uczciwie mówić prawdę. Co wybieramy, dlaczego, co chcemy przez to osiągnąć? Może powiem teraz coś obrazoburczego, ale mam dane z Raportu Komitetu Olimpizmu Powszechnego o zdrowiu i kondycji naszych dzieci i są to dane przerażające. Moim zdaniem edukację można zawsze uzupełnić. Niedorozwoju fizycznego już się nie zrekompensuje. To, co dziecko straci w wieku 4, 6, 10 lat, tego się później nigdy nie nadrobi.

— W jaki sposób można byłoby to osiągnąć?

B. Kapala: — Trzeba zmienić sposób myślenia rodziców. Rodzice powinni współpracować ze szkołą. Tak się dzieje w szkole społecznej, którą znam.

Bogna Maurer: — Szkoła społeczna — to piękna idea. Tylko że to jest garstka rodziców-zapałenców. A reszta? Reszta sądzi zupełnie inaczej. I dlatego pewnie w programie LPO znalazło się sformułowanie: „uważamy, iż naczelnym zadaniem oświaty jest pomoc udzielana rodzinie w wypełnianiu jej obowiązków względem dzieci”. Zatem szkoła ma pełnić rolę usługową dla rodziny. Nie da się bowiem z dnia na dzień, na mocy dekretu, zmienić nastawienia rodziców do szkoły, dzieci, wychowania i nauczania. Być może rozwiązanie trzeba byłoby szukać w działaniu samorządu na osiedlu.

B. Kapala: — Polemika to

raczej pozorna. Mnie chodzi tylko o to, że przykład szkoły społecznej pokazuje, że rodzice, którzy do tej pory mieli negatywne nastawienie wobec szkoły, traktowali ją jako instytucję pouczającą, karzącą rodziców, nagle zrozumieli, że można ze szkołą współpracować. Zmieniła się relacja: rodzina — szkoła. I takie myślenie trzeba upowszechniać.

Czy nie jest was mało?

— Wszystkim nam zależy, aby w Łodzi było lepiej. I rzeczywiście wiążemy — przynajmniej jakąś część społeczeństwa Łodzi — nadzieje z samorządowymi wyborami. Ale czy wszyscy, którzy ubiegają się o mandat radnego, pragną tylko dobra miasta?

Zb. Czerwik: — Jesteśmy grupą Ruchu Wolnych Demokratów i tym różnimy się od innych, że nie chcemy z nikim walczyć. Podczas, gdy inni walczą o symbole, programy, chcą kogoś pokonać, „wyrzucić z siodła” i tak dalej. Jesteśmy otwarci, nikomu nie chcemy wchodzić w parady, chcemy współpracować dla dobra Łodzi.

B. Kapala: — W LPO też nas zapytano: Czy nie jest was za mało? Do wyborów startują całe ekipy, a Ruch Wolnych Demokratów wystawia tylko 6 kandydatów. Zarzucano nam nawet, że postępujemy nieuczciwie wobec wyborców, bo nie prezentujemy kompleksu spraw.

Zb. Czerwik: — Oj, byłoby niedobrze, gdyby do samorządu weszła czyjaś cała ekipa. Monopol na rację już był. W wyborach do Parlamentu wygrała tylko jedna siła. To się może i teraz zdarzyć, ale właśnie z tego powodu zrezygnować nie można.

M. Tomczyński: — Jeśli wyborcy mnie nie wybiorą, to nie będzie tragedii. Pozostaną tam, gdzie funkcjonują od prawie ćwierćwiecza. Tyle że moje argumenty będą miały ograniczone pole i ograniczony efekt. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem racji stanowiska i opowiadam się zdecydowanie za racją wiedzy.

B. Kapala: — Podczas rozmów w LPO zarzucono mi, że chcę zajmować się tylko wybraną dziedziną, a nie patrzeć szerzej. Bo — mówią — liczy się opcja polityczna. A to przecież nie są wybory do Senatu czy Sejmu.

A. Mazur: — Odnoszę niekiedy wrażenie, że niektórzy ludzie zafesknili za... nomenklaturą. Można ustalić, ile ma być wybranych kobiet, tkaczek, weterynarzy i tak dalej. Ludzie pójdą i skreślą lub nie skreślą kogo trzeba.

Zb. Czerwik: — I za rok będą się domagali znowu wolnych wyborów.

A. Mazur: — Nie proponujemy takiego rozwiązania. Uważamy, że radni powinni być uczciwi, żarliwi, kompetentni intelektualnie. Rzetelni i dociekliwi, a także konsekwentni. I to możemy zagwarantować naszym wyborcom.

4.05.1990 r.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

Kolejna próba

Czy Warszawa zabierze Szkołę Filmową?

Łódzka Szkoła Filmowa niemal od początku swego istnienia była solą w oku Warszawie. Co jakiś czas pojawiały się więc pomysły przeniesienia uczelni z ulicy Targowej w Łodzi do stolicy.

Koncepcje przeniesienia szkoły do stolicy są bardzo różne. Jest np. pomysł, aby ją w całości umieścić w Wytwórni Filmowej „Czołówka”, Wytwórni Filmów Dokumentalnych albo też w gmachu... Naczelnej Organizacji Technicznej. Zapomina się przy tym, iż PWSFTviT nie można tak sobie przewieźć autokarem do Warszawy. Uczelnia posiada potencjał produkcyjny średniej wytwórni. Tu powstaje rocznie około 150 filmów krótkometrażowych. Tu też realizowane są w ciągu roku filmy, widowiska i programy telewizyjne, których jednorazowa emisja zajęłaby do 12 godzin. Posiada archiwum pełnometrażowych filmów fabularnych, liczące 4 tys. tytułów, wideotekę z nagraniami 700 obrazów oraz specjalistyczną bibliotekę. Dysponuje własnymi domami akademickimi, w których mogą zamieszkiwać studenci spoza Łodzi. Gdzie więc zakwaterować młodzież i gdzie znaleźć w stolicy odpowiednie pomieszczenia dydaktyczne?

Argumentem zgola kuriozalnym jest warunek Andrzeja Wajdy, do którego m.in. studenci szkoły filmowej zwrócili się z propozycją objęcia stanowiska rektora PWSFTviT, co też uczyniła minister Izabella Cywińska, a czołowy reżyser oświadczył, iż może to w grę wchodzić jedynie w przypadku, gdy uczelnia znajdzie się w... Warszawie.

Pomysł przeniesienia szkoły filmowej z Łodzi do stolicy narodził się właśnie w głowach minister kultury i sztuki — Izabelli Cywińskiej, Andrzeja Wajdy i przewodniczącego Komitetu Kinematografii — Juliusza Burskiego.

Powyższe informacje przekazał dziennikarzom rektor PWSFTviT — prof. Henryk Kluba.
STANISŁAW BAKOWICZ

Jest to spór o metody

Rozmowa z **MARKIEM MARKIEWICZEM** — redaktorem naczelnym Łódzkiego Ośrodka TVP, członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie

— Został pan zaproszony do pracy w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie. Czy ma pan jakąś wizję swojej w nim działalności?

— Zaawansowanie prac tego komitetu jest takie, że ja nie mogę jechać tam z planami, co chciałbym zrobić. Rozumiem to zaproszenie jako próbę poszerzenia formuły i poszerzenie wąskiego dość grona powołanego w 1989 roku. Mam nadzieję, że będzie też okazja do dyskusji o błędach, jakie komitet czy ruch komitetów popełnił.

— Czy nie obawia się pan, że konflikt między Wojewódzkim Komitetem Obywatelskim a Łódzkim Porozumieniem Obywatelskim może ulec zaognieniu po zaproszeniu pana do Komitetu przy Lechu Wałęsie?

— Spór LPO i WKO w tym znaczeniu, o jakim pan mówi, jest sporem lokalnym, jeśli nie prowincjonalnym. Gdyby go traktować jako rywalizację o władzę, czy wpływy w mieście, to ktoś z lewej czy prawej strony musi się zabrać do dokładnej takiej samej pracy. Trudno nawet byłoby traktować zaproszenie do pracy w komitecie jako próbę ważenia sił między ciałami w małym politycznie mieście, jakim jest Łódź. Myślę, że zaproszenie mnie może poszerzyć płaszczyznę dyskusji, a w konsekwencji dać jakiś przykład, że można rozmawiać na jednym gruncie.

— Co według pana spowodowało, że został pan zaproszony do komitetu?

— Powiem w ten sposób. Do tej pory przedstawiciele WKO w stu procentach byli reprezentowani w komitecie, ale w Warszawie, czy w ogóle poza Łodzią dostrzeżono, że łódzki spór wcale nie jest — jak się twierdzi tutaj — sporem personalnym czy o programy, lecz o metody. I stąd dla reprezentatywności komitetu zaproszono osoby spoza dotychczasowego grona, co może w większym wymiarze służyć komitetowi, dlatego, że konflikty łódzkie, choć się najpierw pojawiły u nas, są typowe dla całego kraju.

Rozmawiał:
B. A. MAKOWSKI

1.

W omawianym obecnie zagadnieniu tragicznego losu polskich jeńców wojennych w ZSRR pojawił się wyraźny próg. Jest nim ograniczona ilość materiałów źródłowych. Przekazane prezydentowi Wojciechowi Jaruzelskiemu teczki z dokumentacją kandydy, jak to wynika z dotychczasowych „przecieków”, nie przynoszą jeszcze decydującego przełomu. Nadal, jesteśmy więc skazani na żmudną pracę, ujawniającą niektóre fragmenty losu polskich żołnierzy w ZSRR.

Elementami układanej w ten sposób swoistej mozaiki mogą być materiały, do których dotarłem podczas badania zasobów

młodych lotników. Z nazwiska wymienieni zostali por. Lotowski, ppor. Brodziński, ppor. Lapich, kpr. Wiehejski.

„Jeńcy umieszczeni zostali w szopie drewnianej, oświetlonej elektrycznie. Spali na pryzkach kilkupiętrowych, na siennikach, do przykrycia otrzymali lice wojskowe koce. Barak był opalany kilku żelaznymi piecykami. Woda do mycia — w ilościach ograniczonych. Bieliznę zmieniano co trzy tygodnie”. Uwzięzionym dokuczalo słabe wyżywienie — 0,25 kg chleba i gorąca woda oraz wodnista zupa na obiad i kolację. Toteż gdy z gazety dostarczonej im w ramach prowadzonego procesu Indoktrynacji dowiedziano się, że racja

spośród nich wykorzystano okazję do ucieczki, gdy strażnicy po sprowadzeniu do obozu ze stacji w Brodach transportu alkoholu uraczyli się nim do utraty przytomności. Spośród uciekinierów tylko 8 ponownie schwytano, pozostali zaś, w tym późniejsi informatorzy Ekspozytury „R” wykorzystali swoją szansę.

3.

Inną ciekawą informację uzyskała placówka polskiego wywiadu w Bukareszcie od kolejnego uciekiniera, który 3 lutego 1940 r. przedarł się przez silnie pilnowaną granicę z Rumunią. Złożył on relację o istnieniu nieznanego dotąd obozu dla policjantów,

pochodzących z powiatów kołomyjskiego i kosowskiego otrzymało od mężów kartki z obozów o treści, że „jest im dobrze i spodziewają się w niedługim czasie powrócić”.

5.

Jeszcze inną informację przynosi notatka anonimowego autora, przeznaczona dla władz polskich na obczyźnie, sporządzona — jak to wynika z jej treści w drugiej połowie 1940 r. Możemy z niej wnioskować, że autor był uplasowany w jednej z polskich placówek funkcjonujących wówczas w Turcji, najprawdopodobniej w Stambule. Wyraźne są też jego sympatie polityczne —

Obóz jeńców polskich pod Brodami. Nad jakim jeziorem w pobliżu granicy fińsko-radzieckiej leżał obóz więzionych polskich żołnierzy? Czy Rosjanie zamierzali część internowanych żołnierzy wypuścić przez Turcję?

Ekspozytura „R” w Bukareszcie informowała...

TADEUSZ DUBICKI

Archiwum Historii Ruchu Ludowego w Warszawie. Znajdują się one w zespoleniu: „Archiwum prof. Stanisława Kota”, na ręce którego z racji sprawowania przezeń wysokich funkcji w rządzie gen. Władysława Sikorskiego, w tym także ministra spraw wewnętrznych, spływały różnorodne informacje. Część z nich dotyczyła sytuacji panującej na obszarach zajętych po 17 września 1939 r. przez Armię Czerwoną. Jednym z głównych źródeł zabezpieczających dopływ meldunków z tego terenu była Ekspozytura Oddziału Drugiego zainstalowana w Bukareszcie. Znaleźli się w niej specjaliści polskiego wywiadu, głównie z kierunku „Wschód”.

Ekspozytura „R” kierował ppłk. dypl. Tadeusz Skinder — „Dzik” (poprzednio Szef Wywiadu O.II), którego cechowało zdecydowanie proanacyjne nastawienie. Nadsyłał do Francji bogate meldunki dotyczące stosunku władz do miejscowej ludności i odwrotnie. W jednym z kolejnych (nr 23) „Komunikatów organizacyjno-informacyjnych” Ekspozytury „R” z 16 lutego 1940 r. znalazły się informacje dotyczące obozów jeńców w ZSRR. Opierały się one na relacjach osób, którym udało się przedostać do Rumunii z terenów okupowanych.

2.

Pierwsza pochodziła od grupy byłych żołnierzy — we wrześniu 1939 r. obrońców Warszawy, którzy ówczesnymi kolejami losów, po wyjściu ze stolicy, w drodze na wschód dostali się do niewoli radzieckiej. Do połowy stycznia 1940 r., a więc chwili kiedy udało im się przedostać do Rumunii, osadzeni byli w obozie położonym w odległości ok. 5 km od Brodów. Z ich relacji wynika, że było tam ok. 4 tys. wojskowych, w tym także oficerowie i podoficerowie, przy czym wielu z nich zatailo swoje stopnie wojskowe. W obozie znajdowali się m.in. elewi Szkoły Kadetów z Rawicza, Szkoły Podoficerów dla Małolietnich, grupa

dzienna wynosi rzekomo 0,5 kg kielbasy, 1 kg chleba, smalec oraz pół rubla wypiski, zaczęto się buntować oskarżając władze obozu o kradzież. Reakcją na to była charakterystyczna — po prostu zaniechano przysyłania gazet do obozu!

Uwzięci pod Brodami używani byli głównie do ciężkich robót przy poszerzaniu drogi. Pracowali z przerwami od godz. 5 do 19, i tak nie wykonując narzuconej im, wysokiej normy. Początkowo zezwalano jeszcze miejscowej ludności na dostarczanie jeńcom żywności. Relacjonujący podkreślali, że duży odsetek wśród wspierających ich stanowili Ukraińcy. Szybko i to zostało zabronione.

Nastroj w obozie utrzymywał się mimo wszystko na wysokim poziomie, głównie dzięki wewnętrznej spójności i solidarności. Prowadzono stałą małą wojnę z pilnującymi. Przejścia między barakami nazwane zostały ulicami prezydenta Raczkiewicza i gen. Sikorskiego, na pryzkach rysowano symbole polskiej państwowości, z czym zaczęli walczyć strażnicy usuwając je. Charakterystycznym dla nastroju panującego w obozie był przebieg przedstawienia zorganizowanego przez jeńców w połowie grudnia 1939 r., na które przyszli również przedstawiciele władz obozu. Spektakl zakończył się parodią holdu składanego przez polskiego robotnika Stalini, którego najwyraźniej przy tym ośmieszono. „Goście” oczywiście szybko opuścili świetlicę.

Mimo takich i podobnych wydarzeń straż obozowa interweniowała rzadko. Okoliczność tę podkreślono w przytaczanej relacji stwierdzając, że do stycznia 1940 r. wydarzyły się dwie ostrzejsze interwencje, w wyniku których jeden z jeńców został pobity kolbami, drugiemu zaś złamano oboje rękawy. Ze sprawozdania wynika, że 180 „bojów” stanowiących straż obozową swoje główne zainteresowania lokowało w samogonii. Okazało się to zresztą okolicznością na tyle sprzyjającą uwięzionym, że 50

strażników granicznych, których miejsce pobytu lokalizował na wyspie, położonej na jeziorze — najwidoczniej na dużym, gdyż jak wynikało z jego słów kursował po nim statek. Nasuwający się nam dziś wniosek, że może chodzi tu o Ostaszków (jez. Seliger) upada jednak, wobec stwierdzenia, że obóz ten znajdował się w pobliżu granicy fińsko-radzieckiej. Podana została nawet dokładna od niej odległość — 41 km, co niezależnie od precyzji tego ustalenia świadczy, że odniesienie do granicy jako punktu orientacyjnego oznacza, iż obóz rzeczywiście położony był blisko od niej.

Nie udało mi się zidentyfikować tego miejsca — pas przygraniczny dosłownie usiany jest wielką liczbą jezior. Niemniej okolicznością, która może być przydatna w jego identyfikacji, jest podanie nazwy wyspy brzmiącej (prawdopodobnie w spolszczonej formie) — „Królewice”. Możliwe są różne jej mutacje np. Korolewice. Przy ewentualnych dalszych poszukiwaniach należy jednocześnie pamiętać, że wiadomość ta została przekazana przed marcem 1940 r., kiedy to w następstwie wojny radziecko-fińskiej granica ZSRR została przesunięta.

4.

Placówka ppłk. Tadeusza Skindera uzyskała inne jeszcze informacje. Otóż w połowie stycznia 1940 r. została powiadomiona o powrocie z obozu do przygranicznych Kut 3 żołnierzy (dwaj funkcjonariusze straży granicznej, jeden policjant). Zostali oni zwolnieni wraz z grupą 1300 innych osób, przy czym: „Zwolnieni strażnicy i policjanci wyglądali jak obłąkani, nie chcą jednak nie opowiadać. Od rodzin ich uzyskano wiadomości, że jeńcy byli bici, szykanowani i łżeni, przy czym szerzyły się wśród nich choroby, dolegało im wyżywienie i zimno”. Kolejny meldunek donosił, że 30 stycznia 1940 r. kilka żon policjantów

można go określić jako zdecydowanego zwolennika „nowego reżimu” i antysanatora. Ustalił on iż od czerwca 1940 r. zaczęły przejeżdżać przez Stambul transporty żołnierzy czeskich, członków Legionu Czeskiego zorganizowanego przed wybuchem wojny niemiecko-polskiej na terytorium polskim. We wrześniu 1939 r. formacja ta podzieliła los polskich jednostek, które po 17 września 1939 r. zostały wzięte przez Armię Czerwoną do niewoli. Szybko wyjaśniło się, że byli oni obecnie zwalniani z obozów i przez Turcję i Syrię udawali się do Palestyny. Poszczególne transporty, które odbywały się wyłącznie na jednej trasie Odessa — Stambul statkiem radzieckim „Svanetia”, liczyły do kilkudziesięciu żołnierzy.

Wypuszczenie Czechów mogło zapowiadać zmianę dotychczasowego stanowiska władz radzieckich wobec wojskowych polskich. Z taką przynajmniej nadzieją autor dokumentu uzyskał wkrótce uzupełniające informacje od sekretarza czeskiego Konsulatu Generalnego w Stambule Františka Kysilki. Wyjawił mu on, że zawarto specjalne porozumienie między rządem czeskim w Londynie a rządem ZSRR. Strona organizacyjną akcji zabezpieczającej specjalnie w tym celu utworzona na terenie ZSRR organizacja czeska, mająca poparcie finansowe władz angielskich.

W połowie lipca 1940 r. pojawiła się pogłoska o tym, jakoby strona radziecka w sposób nieformalny sondowała w Turcji możliwość przeprowadzenia analogicznej akcji wobec żołnierzy polskich. Szczegółowszych informacji na ten temat udzielił niezależnie od siebie mjr Mieczysław Krętowicz oraz były minister w rządzie przedwrześniowym Witold Grabowski. Według pierwszego z nich: „miały zostać złożone nieoficjalne propozycje ze strony armatorów sowieckich względnie «Inturista» co do uszczególnienia rozmów na te

mat ewentualnego wydobycia jeńców wojennych polskich z ZSRR, podobnie jak to się dzieje z Czechami". Relacja min. Witolda Grabowskiego mówiła o tym samym, przy czym — według obydwu źródeł — ówczesny attaché wojskowy w Turcji płk dypl. Tadeusz Machalski miał okazać brak zainteresowania „rozmowami z bolszewikami”.

Konsul Generalny RP w Stambule Wojciech Rychlewicz po konsultacji z radcą Tadeuszem Kunickim i attaché płk. Tadeuszem Machalskim stwierdził iż „są to plotki względnie intrygi przeciw konsulatowi i attachatowi”. Jednocześnie płk Machalski zaprzeczył, jakoby takie propozycje były mu przedstawione, używając przy tym niejasnego stwierdzenia: „tylko ktoś pytał się jego, czy nie dałoby się coś zrobić z jeńcami polskimi”.

Autor sprawozdania prowadził dalsze dochodzenie. Wsparł go w tych wysiłkach radca Brodnicki, który z racji wcześniejszej znajomości z min. Witoldem Grabowskim miał możliwość przeprowadzenia z nim nieskrepowanej rozmowy. Uzyskał całkowite potwierdzenie wcześniej przekazanej informacji.

Dotarło też do Františka Kysilki, od którego uzyskano daleko idącą obietnicę pomocy ze strony czeskiego konsulatu w Stambule przy ewentualnej próbie wydobycia jeńców polskich z ZSRR. Deklaracja ta szła daleko, gdyż konsul deklaruwał gotowość postawienia do dyspozycji strony polskiej organizacji czeskiej działającej już w ZSRR.

Dalsze losy tej inicjatywy pozostają nieznanne. Wiemy tylko, że anonimowy autor wspólnie z mjr. Kretowiczem i radcą Brodnickim przygotowywali memorandum dla rządu RP w tej sprawie. Zamierzał przywieźć je do Londynu w końcu sierpnia 1940 r.

6.

Dzisiaj wiemy, że na wszelką pomoc dla oficerów zamordowanych wiosną 1940 r. było już za późno, jednak o tym nikt wówczas jeszcze nie wiedział. Pomocy potrzebowało też około 200 tys. żołnierzy, mogła ona też objąć napływającą właśnie do obozów nową partię wojskowych polskich, których skierowano w głąb ZSRR, po wcieleniu Litwy i Łotwy, gdzie dotąd przebywali na prawach internowanych.

Na marginesie książki Janusza Rolickiego „Edward Gierek. Przerwana dekada”

Fakty i podejrzenia

1. Wydarzenia.

16 stycznia 1968 roku podjęto decyzję o zdjęciu ze sceny od 1 lutego przedstawienia „Dziadów” Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka, a granych w Teatrze Narodowym w Warszawie.

30 stycznia 1968 roku odbyły się demonstracje pod pomnikiem Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

28 lutego 1968 roku zakończyło się dwudniowe nadzwyczajne posiedzenie oddziału warszawskiego ZLP w sprawie zakazu grania „Dziadów” Adama Mickiewicza w Teatrze Narodowym w Warszawie.

2 marca 1968 roku zebrał się aktyw partyjny Warszawy, który podjął rezolucję. Znalazły się w niej następujące stwierdzenia: „Aktyw społeczno-polityczny Warszawy z niepokojem i oburzeniem śledzi poczynania reakcyjnej grupy członków Warszawskiego Oddziału ZLP, która występując pod płaszczykiem obrońców kultury polskiej, z coraz większym zacietrzewieniem i wrogością atakuje Partię i Władzę Ludową”.

8 marca 1968 roku o godzinie 12 rozpoczął się wiec na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Studenci protestowali przeciw zawieszaniu „Dziadów” Adama Mickiewicza i relegowaniu z uczelni Adama Mickiewicza i Henryka Słajfera. Studenci stwierdzili: „Nie pozwolimy nikomu deptać Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. (...) Nie pozwolimy odebrać sobie prawa do obrony demokratycznych i niepodległościowych tradycji Narodu Polskiego”. Wiek rozpedzili palkami robotnicy z zakładów pracy Woli i pracownicy z instytucji Śródmieścia Warszawy.

2. Stanowiska.

Józef Kępa: — Będziemy rzeczywiste cele polityczne organizatorów burd, ich metody walki politycznej obnażać i demaskować, przedstawiać osądowi partyjnego aktywu i opinii publicznej, szeroko naświetlać sprawę w prasie, podawać szczegóły, fakty, charakterystyki tej młodzieży, ich rzeczywistą polityczną i moralną postawę. (...) My stanowczo przeciwstawiamy się antysemityzmowi, ale nie pozwolimy na uprawianie u nas syjonistycznej propagandy i działalności. Nie pozwolimy też na to, aby syjonści szukali dla siebie ochrony, zarzucając innym antysemityzm.

12 marca 1968 roku za winy popełnione przez dzieci odpowiedzialni ich rodzice: zwolniono z zajmowanych stanowisk Jana Grudzińskiego, Jana Góreckiego, Franciszka Topolskiego, Romana Zambrowskiego.

14 marca 1968 roku odbył się w Katowicach wielki wiec śląskich komunistów, transmitowany przez telewizję. Edward

Gierek powiedział na tym wiecu:

— Dzisiaj MO naszego województwa zatrzymała samochód, który wiozł na Śląsk grupę studentów z jednej uczelni, warszawskich studentów, którzy jechali zamącić spokojną śląską wodę. Nietrudno domyślić się, za czyje pieniądze podróżują ci młodzieżowi emisariusze. Są to ci sami zawiedzeni wrogowie Polski Ludowej, których życie nie nauczyło rozumu (...), różni pogrobownicy starego ustroju, rewizjoniści, syjonści, slugusi imperializmu. Chcę z tego miejsca stwierdzić, że śląska woda nie była i nigdy nie będzie wodą na ich miętę. I jeśli niektórzy nadal będą próbowali zawracać nurt naszego życia z obranej przez naród drogi, to śląska woda pogruchoce im kości.

19 marca 1968 roku w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie odbył się słynny wiec, na którym przemówienie wygłosił Władysław Gomułka.

Barbara Dąbrowska: — 19 marca siedzieliśmy przed telewizorami całą rodziną i słuchaliśmy — tak, żeby nie uronić ani słowa — jak Gomułka przemawia na partyjnym wiecu w Sali Kongresowej. Ostatecznie przypieczętował to, że nikt nie będzie słuchał studentów ani rozmawiał z nimi. Otworzył jawnie antysemicką kampanię na wszystkich frontach.

W domu zaczęła się gehenna. Już następnego dnia zaczęły się wiece w całym kraju pod hasłem: „Jesteśmy z Wami, towarzyszu Wiesławie!”.

3. Po latach.

Edward Gierek w „Przerwanej dekadzie”: — „Jako pierwszy, widząc, co się święci, na wielkim wiecu w Katowicach poparłem mocno Wiesława, o co Moczar miał zawsze do mnie pretensje.

Janusz Rolicki: — Jednak Pańskie hasło „pogruchotania kości przez falę śląską” zabrzmiało wówczas złowieszczo.

Edward Gierek: — Był to zwrot czysto retoryczny. A dzięki temu u mnie, to znaczy na Śląsku, nie było żadnych ekscesów antysemickich. Nikt też z aktywu wojewódzkiego w tamtym roku nie wyemigrował za granicę i nie był do tego zmuszany.

Janusz Rolicki: — Czy dłatego Moczar zrewanżował się Panu na wiecu w Warszawie, który niewątpliwie kontrolował, skandowaniem przez salę Pańskiego nazwiska na przemian z partyjnym pseudonimem Gomułki — Wiesław?

Edward Gierek: — Wyznam panu, że gdy wraz ze wszystkimi członkami Biura siedziałem w prezydium i usłyszałem te ryki sali „Wiesław — Gierek, Wiesław — Gierek” poczułem mrowie na plecach. Był

to jeden z trudniejszych momentów mojej kariery.

Stanisław Kania w „Polityce”: — Z proponowaną funkcją oszalał się przecież od dłuższego czasu. Wspomina w wywiadzie wiaty na swoją cześć w Sali Kongresowej w marcu 1968 r. Obciąża tym Mieczysława Moczara, dopatrując się jego prowokacji. A jak wyglądała prawda? Na sali zgromadzeni byli głównie działacze partyjni stolicy. Gierek był już bardzo kojarzony z hasłem „pogruchotania kości przez śląską falę”, którym posłużył się w marcu 1968 r. na wielkim wiecu w Katowicach. Wiatowała w Sali Kongresowej najbardziej jedna dzielnica. Wiadomo autorowi wywiadu, jaki to sekretarz dzielnicy składał za to samokrytykę u Władysława Gomułki. (...) Organizator wiatów Edward Gierek szybko awansował. Po co więc tworzyć mity?

Dopiero teraz wydrukowano „Memorial Władysława Gomułki do członków Komitetu Centralnego PZPR” z marca 1971 roku. Jest tam taki fragment:

„Przypomnijmy sobie rok 1968 — spotkanie z aktywnym warszawskim w Pałacu Kultury i Nauki (...). Wówczas to polecono aktywowi dzielnicy Wola, aby wystąpił przeciwko mojej osobie, nie pozwolił mi przemawiać, zażądał zmiany na stanowisku I sekretarza KC. Przy próbie przerwania mi przemówienia rozległo się skandowanie: „Gierek, Gierek”. Trwało to wszystko około pół minuty. Okazało się, że akcja była niedostatecznie przygotowana. Delegatów Woli nikt nie poparł, zostali osamotnieni. Zmartwił się tym, a może przestraszył sekretarz KD, tow. Jerzy Łukasiewicz i jak tylko mógł, starał się usprawiedliwić i zrehabilitować. Ja byłem zaś taki mściwy, że na V Zjeździe wysunąłem go osobiście jako kandydata do KC. Tow. Gierek, który brał udział w tym spotkaniu, zapewniał mnie, że wszystko to, co zaszło, odbyło się bez jego wiedzy. Wprowadził ludzi, którzy organizowali tę akcję, znajdując się obecnie w nowym kierownictwie partii, tym niemniej nie mógłbym i dziś zaprzeczyć słowom obecnego I sekretarza KC”.

20 grudnia 1970 roku VII Plenum KC PZPR wybrało członkami Biura Politycznego: Edwarda Babiuchę, Józefa Cyrankiewicza, Edwarda Gierka (I sekretarz), Piotra Jaroszewicza, Stefana Jedrychowskiego, Stanisława Kociołka, Władysława Kruczka, Ignacego Logę-Sowińskiego, Mieczysława Moczara, Stefana Olszowskiego, Jana Szydłaka, Józefa Tejchmę; zastępcami członków BP zostali: Henryk Jabłoński, Mieczysław Jagielski, Wojciech Jaruzelski, Józef Kępa. Sekretarzami KC zostali: E. Babiuch, Kazimierz Barcikowski, E. Gierek, St. Kociołek, M. Moczar, S. Olszowski, Artur Starewicz, J. Szydłak, J. Tejchma.

Opracował:
WITOLD BOROWY

Odmurowywanie miasta

PAWEŁ TOMASZEWSKI

W 1989 roku Erich Honecker, były I sekretarz byłej SED, zapewniał z całą stanowczością, iż mur stać będzie i sto lat, jeśli trzeba, a zapewnień jego nie kwestionowano tak na Alexanderplatz, jak i w zachodnioberlińskim ratuszu Schoeneberg, czy w Bonn. No bo — na jakiej podstawie? Komunistyczne władze NRD, mimo zmiany w Polsce i pieriestrojki w ZSRR, nie myślały przecież o żadnej zmianie kursu i zdawały się trzymać mocno. Rosjanie — mówiono — też dobrowolnie nie ustąpią, bo na NRD zależy im szczególnie.

Początkiem końca berlińskiego muru była ubiegłoroczna fala emigracji tysięcy obywateli NRD za Łabę. Najpierw przez Budapeszt, Wiedeń i Pragę, potem również przez Warszawę, skąd Niemcom ze Wschodu bliżej było na Zachód niż przez Bramę Brandenburską. Ci, którzy w NRD pozostali, zaczęli domagać się coraz głośniejszej demokratyzacji życia i pełni swobód obywatelskich. Mnożyły się wiece i demonstracje uliczne. Dała też znać o sobie opozycja: „Nowe Forum”, „Demokracja Teraz” i inne ruchy, wspierane przez Kościół Ewangelicki. Niezadowolone wciąż rosło...

9 listopada 1989 roku na wieczornej konferencji prasowej w KC SED Günter Schabowski — odpowiedzialny w Biurze Politycznym za informację — przekazał wiadomość, iż począwszy od godziny ósmej rano następnego dnia mieszkańcy NRD będą mogli otrzymać od władz wizę wyjazdową, upoważniającą do przekroczenia granicy z Berlinem Zachodnim. A ponieważ uczynił to przed kamerami telewizji, sprawa natychmiast stała się głośna i wywołała niemałe poruszenie, choć zapewne mało kto przypuszczał, jak owo otwarcie muru wyglądać będzie w praktyce.

To, co stało się jeszcze tej samej nocy, i nazajutrz, przeszło najsmielsze oczekiwania berlińczyków: pod naporem tłumów przejścia graniczne między oboma częściami miasta otwarte zostały praktycznie na oścież i każdy, kto chciał, mógł przez nie przejść. Wystarczyło mignąć dowodem osobistym albo i nie. Na ulice wyległy dziesiątki, setki tysięcy ludzi, zachylających się tak nagle otrzymałą swobodą.

Już nazajutrz „Berliner Morgen Post” donosił na pierwszej stronie o „historycznych chwilach”, zaś „Bild Zeitung” obwieszczała

tryumfalnie: „Mur został otwarty!”. O godzinie 20 na wiecu przed ratuszem Schoeneberg burmistrz Berlina Zachodniego, Walter Momper w obecności czołowych polityków Republiki Federalnej stwierdził krótko:

— My, Niemcy, jesteśmy dziś najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

Dla większości Polaków jeżdżących regularnie do Berlina Zachodniego po zakupy, przez ostatni rok nie zmieniło się tam nic lub prawie nic. Sklepy wciąż dobrze zaopatrzone, miła obsługa i wciąż dobry, mimo nowych cel, interes do zrobienia. Tyle na ogół widzą z perspektywy Kontrasse obladowani sprzętem wideo, piwem w puszkach, sokami i czekoladą.

Dla większości berlińczyków rok 1990 to jakby początek nowej epoki w historii miasta, któremu przede wszystkim za sprawą samych Niemców dane było doświadczyć w tym stuleciu tak dużo ciężkich dni. To coś, na co mniej lub bardziej otwarcie czekali od lat. To perspektywa znów jednego, wielkiego Berlina. I jeśli przyjrzeć się dokładnie — widoczna już dziś na każdym niemal kroku gołym okiem.

Bergsch Alee w willowej dzielnicy Berlina Zachodniego, Zehlendorf. Do niedawna przegrodzona w poprzek murem, za którym ciągnął się pas zorażonej ziemi i zaskieki z drutu kolczastego oraz kózłków hiszpańskich. Zapora nie do przebycia. Od marca 1990 roku — na powrót normalna ulica, tyle że w miejscu, gdzie rozebrano fragment muru i położono nowy asfalt — niewielka budka wschodniemieckiej straży granicznej, która przepuszcza każdego w obie strony po okazaniu dokumentów. Tylko tyle, gdyż nie ma tu nawet granicznego szlabanu.

Między Bramą Brandenburską a budynkiem Reichstagu wąską ścieżką podąża grupka enerdownów z torbami pełnymi zakupów. Spokojnie mijają tabliczkę z napisem: do NRD 200 metrów. Tak, jakby robili to od urodzenia.

Na wielu parkingach obok fordów, volkwagenów i mercedesów, stoją brudnoszare trabanty i wartburgi, a ich widok nie budzi już niczyjzego zdziwienia.

Przy Friedrichstrasse obok przejścia granicznego dla cudzoziemców — kilka niepozornych straganów. Na jednym — zapakowane w folię kawałki muru, do których dołączony jest certyfikat świadczący o autentycz-

ności. Cena takiej pamiątki — 10 marek. Na innym — duży wybór wschodniemieckich odznaczeń i znaczków okolicznościowych, a także — radzieckich czapek wojskowych. Jeszcze dalej — wypożyczalnia... młotków i przecinaków do betonu, prowadzona przez... dwóch młodych Polaków. Za drobną opłatą można nimi na oczach enerdownskich strażników powiększyć wykuta już dziurę w murze, przez którą zaglądną na zachodnią stronę.

W pobliskim muzeum muru berlińskiego — także zmiany. Rok temu wstęp dla obywateli państw socjalistycznych był bezpłatny. Teraz kosztuje jedną markę zachodnią lub trzy wschodnie. W ciasnych salach wystawowych pojawiły się nowe ekspozycje. Po raz pierwszy w historii tej niezwykłej placówki muzealnej — obrazujące coś pozytywnego, początkowe godziny otwarcia muru w listopadzie 1989 roku. Jest więc spory kawał betonowej płyty, wyrwanej w tamtych godzinach, jest bogata dokumentacja fotograficzna i film wideo, eksponujący przede wszystkim łączenie się rodzin żyjących w jednym mieście, lecz w dwóch różnych państwach. Są okolicznościowe pamiątki, upamiętniające te radosne chwile.

— To wspaniale, że Niemcy znów będą zjednoczone! — mówi Jorg Gintrowski, student teologii z Berlina Zachodniego.

„Jesteśmy jednym narodem” — głosi napis na ścianie jakiegoś domu.

Wbrew pozorom jednak wcale nie wszyscy Niemcy pragną powrotu jednej ojczyzny, choć zdecydowana większość opowiada się oczywiście za szybkim zjednoczeniem. Albert Statz, deputowany do zachodnioberskiego parlamentu z Alternative Liste (Zieloni) również dobrze wyobraża sobie istnienie w dalszym ciągu dwóch państw niemieckich, tyle że demokratycznych. Zjednoczone Niemcy — podkreśla — istniały przecież zaledwie 70 lat w całej swej historii. I w tym też okresie doprowadziły do wybuchu aż dwóch wojen światowych. Nic więc dziwnego, iż to, co dzieje się obecnie, budzi pewien niepokój u sąsiadów, jakkolwiek żadne z państw europejskich nie kwestionuje prawa Niemców do jedności.

Mimo to, Albert Statz nie widzi przeszkód dla procesu zjednoczenia się. Dokona się ono — mówi — gdyż taka jest wola większości. Pozostaje natomiast pytanie: w jaki sposób i jakim kosztem? Listopadowa rewolucja w Berlinie zaskoczyła wszystkich. Trudno więc utrzymywać, że Zachód był do tego przygotowany, a w jeszcze większym stopniu słowa te dotyczą NRD, która nigdy przecież oficjalnie zjednoczenia nie chciała. Teraz obie strony śpieszą się. Pośpiech bywa zaś często złym doradcą.

Do rozwiązania pozostaje wiele problemów takich, jak: zestrąbianie ze sobą gospodarek obu państw, uregulowanie spraw własnościowych, czy choćby ochrona środowiska naturalnego, które na Wschodzie uległo poważnej dewastacji. A przecież trzeba się liczyć również ze wzrostem bezrobocia, czy nawet pojawieniem się przejściowo inflacji. Wszystko to budzi u wielu zacofanych Niemców zrozumiałe obawy o obniżenie się ich wysokiego standardu życia.

Także w NRD euforia powoli zaczyna ustępować miejsca rozwadze, która w rozpoczętym już procesie zjednoczenia się każe obok pozytywów widzieć również i ujemne strony. Przede wszystkim zaś — że obywatele NRD staną się na długie lata Niemcami drugiej kategorii. Nieprawda więc, że to tylko Zachód — mówią — zapłaci za zjednoczenie, bo oni także. I to, być może, bardzo wysoka cena.

Berlin — do niedawna symbol zimnej wojny — staje się przykładem zbliżenia między Wschodem a Zachodem i niemal z dnia na dzień coraz bardziej jest znów jednym miastem. Czy będzie także jak po 1871 roku, stolicą zjednoczonych Niemiec? Trwają na ten temat gorące dyskusje choć coraz więcej zdaje się przemawiać, że tak.



Foto: Paweł Tomaszewski

1.

Przed murem cmentarnym zaparkowały setki samochodów. Bobby spacerowali między parkującymi i przysmykali oczy na łamanie prawa i wciskanie się oponami do przymentarnych trawników. Nigdzie już nie było miejsca przy szerokiej dwupasmo-wej jezdni, która wiję się wokół parku Gunnesbury. Dzielnica to rezydencjalna, na granicy między bardzo polskim Acton Town, a jeszcze bardziej polskim Ealing Broadway. Na cmentarzu przed 14 laty staraniem Brytyjsko-Polskiego Towarzystwa Katyńskiego, wzniesiono pomnik dla upamiętnienia mordu katyńskiego. Na czarnym, marmurowym obelisku wyrzyto napis: „Katyń”, a poniżej, Orła w koronie i w wieńcu z drutu koleczastego. Zabrakło napisu, który wymieniałby morderców 15.000 polskich oficerów i żołnierzy. Owcześnie rząd brytyjski nie chciał przyznać Polakom prawa do tego, o czym wiedzieli wszyscy. Do wyrzycia napisu, iż to NKWD było sprawcą tragedii. Rząd Jej Królewskiej Mości nie chciał drażnić bliskiego sojusznika z czasów wojny.

na której wreszcie oddano sprawiedliwość historii.

Kiedy zapytałem ambasadora de Virion jak się czuje siedząc obok prezydenta Rzeczypospolitej w Londynie, on przedstawiciel rządu w Warszawie, odpowiedział:

— Przecież my wszyscy jesteśmy Polakami. Nie musimy przeskakiwać barier.

Przysłuchujący się naszej rozmowie Polacy, od lat mieszkający w Londynie, zgottowali ambasadorowi gorącą owacją.

3.

— Czy jest pan usatysfakcjonowany radzieckim oświadczeniem? — zapytałem obecnego prezydenta RP w Londynie pana Ryszarda Kaczorowskiego.

— Oczywiście, że tak. To bardzo ważna dla nas chwila. Ale czekamy jeszcze na oświadczenia dotyczące losu zamordowanych i wywiezionych setek tysięcy innych Polaków, ofiar Związku Sowieckiego.

— Przedstawiciele rządu brytyjskiego oficjalnie wzięli udział w dzisiejszej uroczystości. Do tej pory było inaczej.

którzy nie oszczędzili wysiłków, aby udaremnić polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii i jej angielskim przyjaciółom wzniesienie pomnika dla upamiętnienia zbrodni katyńskiej”.

5.

Rząd brytyjski już w 1943 roku dysponował wystarczającymi dowodami, a niezbite zdobył w 1952 r. Ale już przed zakończeniem wojny znano prawdę o Katyńskim Lesie. Jednakże interes sojuszników wymagał milczenia. Nawet rząd polski w Londynie uznał zasadność takiego stanowiska. W czasie procesu norymberskiego Rosjanie chcieli koniecznie dodać Katyń do długiej listy hitlerowskich zbrodni. Jednak zachodni sojusznicy wyperswadowali Józefowi Stalinowi ten pomysł. W końcu mogłoby się zdarzyć, że obrona udowodniłaby kto naprawdę jest winny. Od tego czasu — pisze Bernard Levin w „Timesie” brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w śmierzdzący sposób, który zemdliliby każdego, staralo się zatuzszować całą sprawę. Przekonywało swoich minis-

LONDYN: — Dlaczego Brytyjczycy udawali, że nie wiedzieli, kto popełnił zbrodnię w Katyńskim Lesie?

I nadszedł moment, kiedy ujawniono prawdę

MAREK BRZEZIŃSKI

W wydanej przed dwudziestu laty encyklopedii francuskiej, pod hasłem: Katyń, figurowało wyjaśnienie:

„Miejsce tragicznej śmierci polskich oficerów zamordowanych przez NKWD”.

W dziesięć lat później już tylko: „miejsce tragicznej śmierci polskich oficerów”.

Długie i silne były ręce NKWD.

2.

Wreszcie Związek Radziecki przyznał się oficjalnie do winy. I oto ludzie tłumnie ciągnęli w stronę cichego cmentarnego zakątka. Niektórym musiano pomagać, lecz choć mieli kłopoty z poruszaniem się, nie mogli nie uczestniczyć w uroczystości, na którą czekali od lat. Równym krokiem maszerowali starzy żołnierze, lotnicy, marynarze. Stawili się przedstawiciele władz brytyjskich. Zjawili się attaché wojskowi Francji, państw skandynawskich, Stanów Zjednoczonych. Nie zabrakło prezydenta Rzeczypospolitej z siedzibą w Londynie, pana Ryszarda Kaczorowskiego, rządu polskiego na emigracji, a także ambasadora RP w Warszawie pana de Virion z małżonką. Harcerze dla szybszego porozumienia rozmawiali między sobą po angielsku, ale twardo trzymali wartę honorową.

Gorąco powitano szefa KPN — Leszka Moczulskiego i przewodniczącego Brytyjsko-Polskiego Towarzystwa Katyńskiego, Sir Frederica Bennetta. Tuż przed samym rozpoczęciem uroczystości zwróciłem się do Sir Frederica z pytaniem o ocenę odbywającej się uroczystości.

— Pomimo ogromnej radości, że wreszcie sprawiedliwość zwyciężyła nad 50-letnią cyniczną próbą obarczania innych winą za ten mord, przeszkadzania w ujawnieniu prawdy, jakżeż smutne jest to, że dotkniętemu licznymi cierpieniami narodowi polskiemu nie zaoszczędzono jeszcze tego jednego cierpienia. W ciągu tego półwiecza odeszły pokolenia tych, którzy znali i kochali zamordowanych w Katyńskim Lesie.

W przemówieniu Sir Frederic stwierdził, że powinniśmy domagać się, aby odtąd ani rząd brytyjski, ani jakikolwiek inny rząd na świecie nie posuwał się w imię własnego politycznego interesu do przyklaskiwania kłamstwu. Zażądał od Moskwy wypłacenia polskim rodzinom kompensacji.

Po przemówieniu prezydenta RP w Londynie i odprawieniu krótkiego nabożeństwa przez księdza kapelana, poświęcono urnę z ziemią przywiezioną z Katynia oraz tablice,

— Niech się wstydy ten, kto kłamał. Zresztą nie tylko rząd brytyjski. Także rządy innych państw. Przecież to samo było z rządem w Warszawie. Też przez długie lata nie chciał przyznać, kto dopuścił zbrodni.

— Czy i kiedy rząd RP w Londynie gotów byłby przekazać insygnia władzy rządowi RP w Warszawie?

— Myślny mówili już o tym od dawna i postawili sprawę jasno. Wtedy, gdy rząd w Warszawie wybrany będzie w całkowicie demokratyczny sposób, w demokratycznych wyborach.

4.

W „Timesie” ukazał się artykuł pióra jednego z najbardziej znanych komentatorów — Bernarda Levina. Autor zwraca uwagę na trzy aspekty radzieckiego, oficjalnego przyznania się do popełnionej zbrodni. Po pierwsze: podziw dla Michaila Gorbaczowa wywołany „katyńskim” oświadczeniem jest delikatnie rzecz biorąc nie na miejscu, bo wszak „Gorbaczow najprawdopodobniej znał całą prawdę i to pewnie od co najmniej lat 70-tych, a może i dłużej. Tchórzostwo i nieuczciwość dyktowały sposób, w jaki podał do informacji publicznej wiadomość o radzieckim przyznaniu się do winy. W ten sposób uczynił ten zawstydzający fakt jeszcze bardziej wstydlwym”. Bernard Levin czyni wątpliwą nadzieję, z jaką opinia światowa patrzy na Michaila Gorbaczowa, uważając radzieckiego przywódcę za głosiciela prawdy i prawości. „Jak można wierzyć człowiekowi, który o tak straszliwych wydarzeniach, tak tragicznych i tak od dawna w najdrobniejszych szczegółach znanych światu, powiedział iż „dzięki właśnie ujawnionym faktom” Związek Radziecki mógł się przyznać do winy?”

Drugi aspekt katyńskiej sprawy — to zdaniem Bernarda Levina rola generała Wojciecha Jaruzelskiego. Levin podważa prawo Wojciecha Jaruzelskiego do brania udziału w uroczystościach katyńskich, skoro jeszcze niedawno za rządów tegoż generała Polakom nie wolno było wymówić słowa Katyń. Czy tak rzeczywiście było to jedna sprawa, ale że Katynia przez dziesięciolecia nie „odkłamano” to już zupełnie inna sprawa.

Wreszcie trzecia sprawa — to postawa tych wszystkich, którzy starali się, aby przez pół wieku cicho było o radzieckiej winie. „Nawet teraz panuje cisza — pisze angielski dziennikarz — nie mówiąc już o jakichkolwiek słowach przeprosin ze strony tych,

trów, aby przekreślali, przeinaczali, bluffowali, macili, maskowali, a to wszystko tylko po to, żeby opinia publiczna nie dowiedziała się prawdy. „Jestem pewien — pisze dalej Bernard Levin — że i w tej chwili Ministerstwo Spraw Zagranicznych wywiera naciski na ministra spraw zagranicznych, aby ten broń Boże czegoś nie chlapanął w sprawie katyńskiej, bo przecież 98-letni Łazar Kaganowicz, jeden z najbliższych współpracowników Józefa Stalina wciąż żyje i mógłby się — odpuścić w niemalowane drzewo — jeszcze obrzezić”.

6.

Gdy po długich staraniach, pokonywaniu rozlicznych przeszkód, znaleziono miejsce pod pomnik w Gunnesbury Park to Ministerstwo Spraw Zagranicznych JKM nie mogło się poddać i oddało sprawę w ręce, jak to określa Bernard Levin w „Timesie” — „Swojego Wydziału Brudnych Spraw”. Skoro nie można było już przeszkodzić, to należało utrudnić. Owcześnie rząd, w którego szeregach roilo się od sympatyków Związku Radzieckiego, laskawie nastawiał ucha na podszeptywane sugestie. Minister obrony Roy Mason wydał podkomendnym zakaz brania udziału w mundurze w uroczystościach. Chodziło o to, aby cała sprawa miała jak najmniej oficjalny charakter. Naciski ze strony ZSRR były bardzo silne. Za złamanie tego nakazu groził sąd wojenny. Roy Mason nie zezwolił na udział w uroczystościach orkiestrze wojskowej. Korpusowi dyplomatycznemu zalecono nieuczestniczenie w ceremonii. Jednakże wielu Brytyjczyków stawiło się we wrześniowy ranek 1976 roku i później co roku uczestniczyło w uroczystościach katyńskich.

„I teraz — kończy swój artykuł w londyńskim „Timesie” Bernard Levin — gdy Michail Gorbaczow, w tak pokretny sposób, oddał sprawiedliwość historii, brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych odpowiedziało słowami tak bezwstydnymi i fałszywymi, że gorbaczowskie błyszczą jak słowa człowieka honoru:

»Od dawna wzywaliśmy wszystkich, aby otwarcie przyznali, co się wtedy wydarzyło. Z tym większym zadowoleniem witamy oświadczenie władz w Moskwie”.



Na kolumnie „Polemiki—listy—opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

KTO MI ZWRÓCI MOJE OSZCZĘDNOŚCI?

Oszczędności ulokowane w banku były jedynym źródłem mojego utrzymania, a deprecjacja ich jest tak duża, że wywołuje u mnie szok i rozpacz! Pieniądże włożone na 5-letnie bony, które po upływie terminu miały mi dać 100-proc. zysk, wycofane razem z oprocentowaniem stanowią zaledwie jedną setną ich wartości z lat poprzednich. Dokonano grabieży na obywatelach, którzy zaufali PKO. (...)

Bank odpowiada, że bez pomocy z budżetu państwa nie jest w stanie wyrównać ogromnych strat, powstałych na skutek obecnej polityki rządu. Uważam, że rząd wykorzystał to, że grupa oszczędzających jest niezorganizowana. Użył gromadzone przez 40 lat oszczędności do załatwienia inflacji (...).

Socjalizm po wojnie zabrał mi dom, obecna demokracja wielopokoleniowe oszczędności z PKO, więc jak żyć w państwie, gdzie każda zmiana systemu rujnuje materialnie obywateli. Jeszcze nie wyrównano i nigdy się nie wyrówna poprzednich krzywd, a już wyrządzono nowe, które bolą bardziej. Sejm wątpliwą ustawą „przywraca” własność obywateli zagrabioną po wojnie, a jednocześnie tych samych obywateli pozbawił kapitału gromadzonego przez 40 lat, ulokowanego w banku PKO — powstałego z wielu wywłaszczeń dokonanych przez państwo, wielopokoleniowych oszczędności i spadków, za które płacono podatki od wzbogacenia z wrodzonej oszczędności, która jest cechą ludzi dążących do lepszego i bogatszego życia, a także obywateli pracujących i oszczędnych, którzy odkładali część swoich zarobków, premie, dodatkowe pensje, nagrody jubileuszowe, odprawy emerytalne i inne po to, by realizować plany związane z posiadaniem kapitałem i by na starość mogli żyć godnie i nie musieli korzystać z opieki społecznej. (...).

Umowy zawierałem w czasach stabilnej złotówki, o dużej sile nabywczej. Ponieważ prawo nie działa wstecz, uważam, że obecne wypłaty oszczędności bank powinien dokonywać po uprzednim przewartościowaniu złotówki lub wydać odpowiednie bony rewaloryzacyjne, a w trudnej sytuacji finansowej państwa do realizacji w późniejszych okresach. I każdy rząd w państwie prawa tym bardziej oparty na etyce chrześcijańskiej tak by postąpił, nie chcąc krzywdzić oszczędnych obywateli. Rząd i Sejm, wie o ogromnej deprecjacji oszczędności w PKO, ale na ten temat milczy z uporem, bo nie jest w stanie zrozumieć, że niewielu obywateli tego kraju ma wysokie konta dolarowe! (...).

Jak długo można żebrać o własne pieniądze, zdeprecjonowane nie z mojej winy i dlaczego rządowi zależy, aby obywatele polscy byli biedni? (...) Jest niezrozumiałe, dlaczego do umów długoterminowych zawartych w poprzednich latach z PKO nie można zastosować tego samego prawa, jak do książeczek samochodowych i dlaczego oszczędzających na inne dobra ukarano deprecjonując ich kapitał? (...)

(Nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji)

„VIGOPRIM” PROTESTUJE I WYJAŚNIA

Dyrekcja i Rada Zakładowa Przędzalni Czesankowo-Zgrzebnej „Vigoprim” w Łodzi wyrażają dezaprobatę z powodu zamieszczenia artykułu Andrzeja Gębarowskiego w „Odgłosach” nr 17 pt. „Jesteśmy skazani na pożarcie”. W artykule tym podano nieścisłe dane dotyczące zwolnień pracowników oraz przyczyny odwołania dyrektora.

Przed podjęciem jakichkolwiek działań związanych z ograniczeniem zatrudnienia przeprowadzono wnikliwą analizę sytuacji gospodarczej, finansowej i stanu zatrudnienia w przedsiębiorstwie. Zostały powołane specjalne zespoły w danych działach i wydziałach zakładu, a efektem ich pracy było znaczne uproszczenie organizacji i zarządzania przedsiębiorstwa, jak też zmniejszenie ilości stanowisk kierowniczych i innych. Mając na uwadze to, aby skutki działań podjętych w celu ograniczenia zatrudnienia były jak najmniej dotkliwe dla zatrudnionych w zakładzie pracowników przedstawiono działającym na terenie zakładu organizacjom związkowym propozycje (założenia) dotyczące zmniejszenia stanu zatrudnienia.

Zgodnie z zawartym porozumieniem lista pracowników proponowanych do zwolnienia wynosiła 348 osób, zaś ogólne zatrudnienie wynosiło 1147 osób. Proponowany procent pracowników do zwolnienia wynosił 30,3 proc., a nie 60 proc., jak podaje autor artykułu. Zwolnieni zostali ci pracownicy, którzy nabyli prawo do emerytury na podstawie rozporządzenia ministra pracy i polityki społecznej z 26.01.90 r. w sprawie wcześniejszych emerytur dla pracowników zwalnianych z pracy... (Dz. U. nr 4/90 r.) i zadeklarowali chęć odejścia na emeryturę.

Zwolnieniami objęto też pracowników zatrudnionych w mniejszym wymiarze czasu pracy (emeryci) z racji posiadania przez nich świadczeń zabezpieczających utrzymanie. Co do pozostałej liczby osób, decyzja o zwolnieniu nie została jeszcze podjęta.

Decyzja o dalszym zmniejszeniu stanu zatrudnienia uzależniona jest między innymi od zahamowania dalszego spadku produkcji związanej z rezygnacją dotychczasowych odbiorców a podjęciu produkcji przędzy na eksport.

Nieścisła jest też informacja dotycząca przyczyn odwołania dyrektora zakładu. Rada Pracownicza wystąpiła z wnioskiem do Organu Zastępcy o odwołanie dotychczasowego dyrektora z powodu długotrwałej choroby, a nie z powodów innych.

W związku z powyższym uważamy, że pisząc o sytuacji w naszym przedsiębiorstwie należałoby oprócz się na wiarygodnych materiałach, które to w postaci dokumentów mogą być udostępnione. Opieranie się na innych źródłach informacji prowadzi do przekazywania Czytelnikom danych odbiegających od stanu faktycznego.

List powyższy podpisali: inż. JERZY LATUSZEWSKI — zastępca dyrektora do spraw produkcji, mgr inż. HALINA MACKOWIAK — Rada Pracownicza, BOGUMIŁ LIPSKI — Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność”, BOGDAN STRZELECKI — Rada Związkowa.

OD REDAKCJI. Grono tak szacownych osób powinno rozumieć różnicę między artykułem, który autor podpisuje nazwiskiem i imieniem i bierze pełną za jego treść odpowiedzialność a wywiadem, w którym przekazuje tylko informacje udzielone mu przez jego rozmówcę. Autor wywiadu nie musi się zgadzać z treścią wypowiedzi swego rozmówcy, on je wywołuje i informuje o nich czytelników. Tak rzecz ma się z wywiadem, którego autorem jest Andrzej Gębarowski. Pod tytułem wyraźnie zostało napisane, że jest to ROZMOWA z PAWŁEM LIPSKIM — przewodniczącym Krajowej Sekcji NSZZ „Solidarność” Przemysłu Lekkiego. Wszelkie pretensje o niedokładność danych prosimy kierować do rozmówcy Andrzeja Gębarowskiego. Gdyby autorzy listu z „Vigoprimu” ograniczyli się tylko do sprostowania nieścisłości bądź to w liście adresowanym do Pawła Lipskiego, a nam przesłali odpis tego listu, bądź to w liście tylko do redakcji skierowanym, opublikowalibyśmy taki list, bo to nasz obowiązek. Skoro jednak usiłują pouczać redakcję w sprawach, o których nie mają pojęcia, czujemy się w obowiązku wytknąć niestosowność takiego postępowania.

Byłoby też interesujące, gdyby pan Bogumił Lipski zechciał wyjaśnić, w jaki sposób błędne dane trafiły do przewodniczącego Krajowej Sekcji NSZZ „Solidarność” Przemysłu Lekkiego? Chętnie opublikujemy takie wyjaśnienie.

TO EDWARD GIEREK MIAŁ RACJĘ!

Pamięć ludzka jest zawodna i rodzi pomyłki. To jednak Edward Gierek miał rację, kiedy mówił Januszowi Rolickiemu, że Leonid Breżniew dyrygował „Międzynarodówką” podczas otwarcia VII Zjazdu PZPR w 1975 roku. Na VIII Zjeździe PZPR Leonida Breżniewa nie było. Na tym zjeździe KPZR reprezentował Michaił Susłow i ponoć mocno przeżył fakt, że nie wybrano do KC PZPR Piotra Jaroszewicza.

To, co pisze L. Włodkowski o nieudanym puczu Mieczysława Moczara w Olsztynie w 1971 roku — to prawda. Ciekawe, że Franciszek Szlachcic unika tego tematu. Dobrze więc się stało, że napisano na ten temat w „Odgłosach”.

JAN WAŃKIEWICZ

Zgadza się! To mnie pamięć zawiedzia. Wytknął mi to już w liście pan Czesław Żyliński, który skrupulatnie wyłapuje wszystkie błędy. Przypomniał, że Mieczysław Moczara po spotkaniu w Olsztynie nie przestał być sekretarzem KC PZPR, a I sekretarz KW PZPR w Olsztynie Tadeusz Białkowski wyjechał do Korei Północnej jako ambasador. Obu panom dziękuję za sprostowania.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PAWEŁ I GAWEL

Paweł i Gawel w jednym stali domu, Paweł na górze, a Gawel na dole. Paweł był przekonany, że za pokaźną sumę, jaką zasilili kabzę państwową skorzysta z jakichś ulg, ale do kasy PGM wnosili jednakowe opłaty — Gawel tytułem czynszu, Paweł za koszty eksploatacyjne jak wywózka śmieci, smolowanie dachu itp.

Od kilku tygodni Paweł chodzi jak struty, bowiem minister Aleksander Paszyński zapowiedział, iż od 1 października 1990 r. wejdą w życie nowe przepisy: „zwykli” lokatorzy będą opłacać czynsz w wysokości 7 proc. swych poborów, zaś właściciele mieszkań — pełną stawkę. Wyniesie to, jak sobie Paweł wyliczył, za jego mieszkanie około ćwierci miliona złotych na miesiąc, a u Gawła za identyczne — pięć razy mniej. Paweł docenia konieczność nowej gospodarki, urynkowania itd., wie że trzeba zacisnąć pasa, toteż mniej wydaje na jedzenie, palenie i potrzeby kulturalne, ale przecież mniej mieszkać nie może.

I pamięta, że podobną lekcję już przerabialiśmy przed kilku laty, kiedy to wyznaczono mu, podobnie jak ponad milionowi właścicieli mieszkań w całym kraju, o 50 proc. wyższą stawkę niż pozostałym lokatorom, ale ludzie podnieśli bunt, sprawa oparła się o Trybunał Konstytucyjny, a ten uchylił nieprawny przepis i właścicielom mieszkań zwrócono nadpłaty.

„To dlaczego znowu podsuwa się nam do konsumpcji tę samą, zgalwanizowaną żabę?” — zastanawia się Paweł i z tego wszystkiego rozumie tylko jedno: nie „wolność”, ale „drogość, Tomku, w swoim domku!”.

ADAM OCHOCKI

Upał, duszno, pot leje się z człowieka, a człowiek pędzi aleją Kościuski wnerwiony i wściekły, bo człowiek był w PZU dowiedzieć się czy człowiekowi jako rozwiedzionej matce należy się tzw. rodzinne na dwunasto-letniego syna, ale się nie należy, bo człowiek wykonuje „wolny” zawód. Czyli pisze, nie będąc zatrudnionym na „etacie”. Ongiś, przed laty, wręcz zapędzano mnie do pisania, na różnych wiecach potrząsając groźnie transparentami: *Pisarze, do pióra!* Czasy się jednakowoż zmieniły, ostatnio słyszałam w radiu posła A. Małachowskiego, który pohukiwał na swoich bezrobotnych eks-kolegów, że wam już, panowie, nie do pióra, o nie!, lecz do miotły proszę!

Również mogę za miotłę chwycić. Ostatecznie przed nami jak dwa razy dwa jest cztery, jaśniejszy kapitalizm, w którym żadna praca, byle porządnie wykonana, hańby nie przynosi. Znam pewnego pana dr. od uszu, który cierpiąc na złożony syndrom kompleksów: jak to — ja tylko maluchem, a szef aż mażdżą? — wybrał się na sakso do Stanów, w trzy miesiące wrócił, kupił mało używanego golfa i odtąd z podniesionym czołem parkował golfa przy mażdżcie. Cóż za raj, ten kapitalizm, trzy miesiączki i golfik jak nowy. A ile miałes za godzinę? — pytano bohatera pracy kapitalistycznej. Onże odpowiadał, iż dużo, lecz nie więcej, ani mru-mru, ani za co dużo, ani w czym. Dopiero pewnego razu, po za dużej wódce wyznał, że nigdy już więcej, gdyż honor nade wszystko, nawet za owo „dużo za godzinę” czyścić kibli nie będzie!

— No, no panie kolego — powiedział tolerancyjnie szef — po co te kompleksy? Wypijmy brudzia. — Wypili, pocałowali się, a szef dokończył: — Ciebie tam nikt nie znał, a tu teraz jesteś kimś, golfem jeżdżisz!

W każdym razie, myślę mijając róg Kościuski i 22 Lipca, wielu znakomitych ludzi zaczynało swoją karierę od miotły. Ja, jako kobieta żadnej pracy się nie boję. A miotła to równie dobre narzędzie, także jak i pióro. Jeśli się przypiszę do miotły, otrzymam rodzinne, jeśli zostanę przy piórze (choć z jego tytułu od nastu lat płacę PZU na swoją emeryturę, tę najniższą, bo na tę wyższą składka miesięczna równa się obecnie wysokości moich miesięcznych z pióra zarobków), to na syna rodzinnego nie dostanę. Wynika stąd, że ja plus syn nie stanowimy rodziny.

Odrzucając precz fałszywą tezę, że ja plus syn jesteśmy rodziną, zbliżam się do rogu Kościuski i Zielonej. Fatalnie! minęłam od Nawrot dwa pełne przystanki tramwajowe i ani razu nie spojrzalam pod nogi! Pewna moja znajoma twierdzi, że ona inaczej nie chodzi ulicami niż ze wzrokiem wbitym w chodnik. Bo a nuż coś znajdzie? Jakis efektywnie speznialy zielonymi lub choćby marnymi Staszczami portfelik? Czemu nie? Cuda się zdarzają. Moja serdeczna przyjaciółka, dziennikarka z Warszawy, jadąc miejskim autobusem znalazła pozostawione na siedzisku (siedzeniu?) osiem pomiętych w rulonik zielonych Grantów. Zamiast odmówić nowennę dziękczynną do św. Antoniego, przerażona się. A jeśli te osiem Grantów zgubił nieszczęsny ojciec konającego dziecka, dla którego właśnie po wyprzedży dorobku całego życia jechał kupić zagraniczny lek za zielone? I moja, słynąca ze swej uczciwości przyjaciółka w te pędy pognęła do „Życia Warszawy”, gdzie umieściła błyskawicą ogłoszenie następującej treści: „Dnia takiego-a-takiego w miejskim środku komunikacji została znaleziona pewna kwota dolarów, do odebrania pod numerem telefonu takim-a-takim”

Pierwszy telefon obudził ją w kilka minut po szóstej. Głos damski wykiwał, że coś to za szczęście, za które Bogu dziękować, pięciolatnia córeczka mi kona, dorobek całego życia wyprzedalam, pani da adres, przyjadę po pieniżki i po rękach będę całować. Wszystko się zgadzało. I ta córeczka konająca i dorobek życia całego. poza kwota,

rozdzierająco określaną raz na sto, potem na trzysta, potem na tysiąc. Kolejny telefon zadwoił natychmiast po pierwszym, i odtąd dzwonił i dzwonił do północy, moja przyjaciółka przyjmując w ciągu jednej doby około czterystu zgłoszeń dostała chrypki i nerwowego załamania. Niektóre głosy kłęły, inne szeptały, jeszcze inne proponowały fifty-fifty, były takie, co z fifty spuszczały do ćwierci, nie brakowało takich, co chrypiały: — ty taka i owaka, poczekaj, ja cię dopadnę! — Lub zagrywały na znaną nutę: *Pani mnie nie zna, pani nie wie, kim jestem!* — Trzeciego dnia od daty ukazania się ogłoszenia, moja przyjaciółka wyłączyła telefon, a czterysta dolarów — bo do końca pozostała głupio uczciwą — przesłała na konto schroniska dla psiaków.

Pędząc aleją Kościuski już ze wzrokiem wbitym w przesuwający się pod nogami chodnik wdycham nabożnie do św. Antoniego, że gdyby był taki uprzejmy pomóc mi w znalezieniu czegoś, czego sama nie zgubiłam, to zwracam się z uprzejmą prośbą — aby to nie był żaden portfel, lecz właśnie: o! taki anonimowy zwitczek. A gdyby już św. Antoni koniecznie musiał podrzucić pod moje nogi portfel, to laskawie proszę — bez dowodu. Ze zwitkiem tak, ale żadnych tożsamości nie życzę. Dopiero nieszczęście: znajduję, otwieram, patrzę, a tam nie tylko adres, znaki szczególne, że brodawka nad lewym uchem, ale z fotografii człowiek ku mnie lypie okiem jak żywy, niczym dobry znajomy, więc św. Antoni, nie tak, tak się nie zgadzam, bo tu szmal, a tu sumienie; tu dekalog: Anno-Mario, a fe, nie kradnij!, a tu wakacje, na które nie wiem, skąd wezmę?

Lecz patrząc na to samo zagadnienie z drugiej strony — kto dziś gubi większy szmal? Tylko taki, co ma go po dziurki w nosie. Ja tam na przykład każde marne pięć tysięcy ściskam w garści z taką mocą i taką uwagą, jakby to było co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A tu wyczytałam dopiero co w prasie, że najbogatszy facet w Łodzi trzyma na koncie czterdzieści miliardów złotych! Matko święta!, a po co mu aż tyle? Nie mógłby choć trochę, choć odrobnie pogubić? Nie jestem pazerna, powiedzmy, że dwa miliony. Co to dla niego, mniej niż przyszcz, nawet nie sprostzęłby, że je zgubił, a ja nie musiałabym łamać sobie głowy, za co siebie i syna, chociaż nie jesteśmy żadną rodziną, wywożę na jakiegokolwiek wakacje?

W tym momencie zderzam się z kimś czołowo. — *Cholera, trzeba uważać!* — wołam. Pani, z którą się zderzyłam, woła to samo. Po czym patrzymy na siebie i padamy w objęcia. Co za szczególne zderzenie z dawno nie widzianą znajomą. Też spocona, z obłędem w oku, rozrąganą fryzurą na głowie. Okazuje się, że pędzi z pracy do domu. Matko święta, zdumiewam się. — *Taki kawał! przecież tu pracujesz przy Obrońców, a mieszkasz aż na Przubyszewskiego!*

Znajoma bierze kilka głębszych, dla wyrównania oddechu, mówi:

— *Ależ, rozumiesz? Anno-Mario — po pierwsze: to spacer dla zdrowia. Po drugie — w taki sposób nie wudaję na tramwaj, mogę za to, co wudałabum na tramwaj, raz na dziesięć dni kupić kilogram wychodzonych pomarańcz cebra*

Rozumiem. Dlatego podaje dziś wykwin-tne kurczę z wychodzonymi pomarańczami (w sam raz odpowiednie na rodzinny niedzielny obiad): „Kurczę najpierw lekko obnotować (na wywarze ugotować ruppe poniedziałkowa) potem kurczę natrzeć solą, pierzmem, natka muszkatołowa, łuzka miodu oraz solkiem z ionei „wychodzonej” nomarańcu. Niechaj to należu z gotzineg Nastennie druan „michodzonej” nomarańcu nadziank bupero i ntec, ezesto podlewając so-som

ANNA-MARIA

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z 17 MAJA 1990 R.

Znów z uporem maniaka narzekał będąc na telefony od Czytelników, którzy traktują naszą rubrykę i dyżurujących reporterów jako antidotum na wszelkie plagi i nieszczęścia. To przykre, ale wielu telefonujących nie zadało sobie nawet trudu, by próbować samemu wyjaśnić nurtujące ich problemy... Pewien Czytelnik wyraził złośliwe ubolewanie:

— To po co pan tam siedzisz, jak nie chcesz załatwić mi tej sprawy w ZUS?

Pani Janina Lukaszewicz słusznie sugeruje, aby ktoś wrzescie zainteresował się zawartością skarbonki umieszczonej w budynku PKO przy ul. Zachodniej 91. Cel, jak głosi napis, szczytny: Centrum Zdrowia Matki Polki. Tylko, że banknoty już wyblakły (a i na wartości nieco pewnie straciły), widąc nikogo zawartość skarbonki nie interesuje.

Pani Janina Kawczyńska mieszka w domu, jak sama twierdzi, z epoki Ziemi Obiecanej. Gdzie? Przy ulicy Roosevelta 14 w Łodzi. Budynek — barak właściwie, pozabawiony jest wszelkich wygód, nawet wodę „podciągnięto” prowizorycznie. Niedawno, 15 maja 1990 r. wybuchł pożar, który strawił komórki wszystkich lokatorów. Może jednak pracownicy PGM i administracji z ulicy Sienkiewicza potraktują ten wypadek indywidualnie i pomogą choć w szybkiej odbudowie nieszczęsnych komórek...

Pan Grzegorz Bartzak od 19 lutego 1990 r. jest bezrobotnym. Nasz Czytelnik stwierdził to bez odrobiny dumy; jest z zawodu technikiem budowlanym, odwiedza regularnie wydział pośrednictwa pracy, ale — tejże dla niego wciąż brak. Oczywiście, otrzymuje zasiłek, 120 tysięcy złotych, faktycznie nie można go inaczej określić jak głodowy. Gdy po raz kolejny zrozpaczony pytał panią w okienku przy ulicy Wólczańskiej, jak długo można tak żyć, skoro brakuje nawet na podstawowe świadczenia, które powinien zapłacić, usłyszał: — „A po co? Przecież pan jest bezrobotny...”

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Coś z życia



Rys. Sławomir Luczyński

Mężczyzna stojący w drzwiach lokalu wpiersz omiół uważnym spojrzaniem ulicę. Nic podejrzanego nie wypatrzył.

Franz zwany „Spannerem” sprawował w lokalu funkcję wysuniętej czujki, w razie potrzeby także wykiadał. Wystawał na czatach przed „Johannes Keller” godzinami. Nieomylnym okiem wyiawiał już z daleka szpiclów, łap-sów i policyjnych wężycieli.

Gdy rozlegał się dzwonek, Johannes Stumm, właściciel knajpy odkładał natychmiast kieliszek na ladzie i zbiegał w te pędy z zadziwiająco jak na jego tusz chyżością do piwniczki. Dawał znak i usadowieni przy stolikach mężczyźni w dobrze skrojonych garniturach, zrywali się z miejsc.

Kobiety znikają bez śladu!

Gdy nad Berlinem zapadał zmrok

JAN BABIŃSKI

Wyrywali tajemnym przejściem na podwórzu sąsiedniej kamienicy, by za chwilę rozplynąć się niepostrzeżenie w ulicznym tłumie.

— Zastąpiłem „boosta” — zapytał Grossman.

Franz uniósł kciuk prawej ręki w górę, tak, szef jest u siebie, droga wołna. Grossmana znano tu i poważano. Kręcił się zresztą po wszystkich mrocznych zaułkach przylegających do „Schlesischer Bahnhof” w Berlinie. Niebieski płaszek i hulaka trudnił się paserstwem. Żył też z drobnego handlu. Od jakiegoś czasu zaczął dostarczać pokątnie świeże mięso do okolicznych restauracji. Stumm wprawdzie podejrzewał, że mięswo jest niewiadomego pochodzenia, ale machnął ręką.

Co Grossman zainkasował, zaraz u „Johannesa” przepuszczał. Na piwo, sznaps, grzybki w occie, ogórki w marynacie i na „Eisbein”, zimne nóżki. To były dlań nie-doścignione delikie. Mógł tych nóżek spłasować dwa czubate talerze na jednym posiedzeniu i poprawić jeszcze solidną porcją rolmopsów. Apetyt miał wilczy, a zdrowie w rzeczy samej końskie.

„Stark wie ein Baer”, mawiano o nim. Był silny jak niedźwiedź. Brał u „Johannesa” kelnerczki na kolana i obmacywał po kolei jak szło. Zbytano się nie opierały. Jakie upominki dawał. Odmawiał mu byle przyjemności? Johannes Stumm darzył go sympatią. Zaliczył go do swych „Stamm-gaeste”, starych klientów. Wszyscy oni spotykali się wieczorami w „Kellerze”. W podziemnej salce dla wtajemniczonych.

Przy Koppen, Madai, czy Lange Strasse mrowiło się w Berlinie lat dwudziestych od knajpek, barów, nocnych lokali i restauracji. Tu również rozgościły się, mające jak najgorszą reputację „Kaschemme”. Lokale w suterrenach wielopiętrowych kamienic. Zbierali się w nich zawodowi włamywacze, dolniarze, w ogóle szumowiny, no i dziewczyny nader lekkich obyczajów. Sami swoi. Ferajna co się zowie. Każdy z tych lokali chlubił się obficie zaopatrzoną bufetem, salką z pianinem w kącie i pokojem na bilard. W osobnym pomieszczeniu, wpuszczonym głęboko pod ziemię, znajdował się „Vereinszimmer”.

Tu jak krety przed dziennym światłem kryli się przed policją tropieni przez nią bandyci i mordercy. Niewielkie lokum, pozabawione okien, miało pod schodami dobrze zamaskowany wylot. Prowadził do tylnego wyjścia. Berlińska policja raz po raz przeprowadzała w tej dzielnicy „razzie”. Zdało się, że potrząsk szczerlnie był obstawiony i mysz się nie prześliznie. Złudzenie.

Grossman, notowany jako paser, wymykał się również tym obławom z dzieciinną łatwością. Stuknęła mu właśnie pięćdzie-

siątka. Tyle przez ten czas nakosił, że jako w miarę usatkwony obywatel, mógł się porwać na wynajęcie wygodnego mieszkania przy Lange Strasse. Tak raptem obrósł, że wziął sobie ładną i miłą gospozię do domu. Freulein Truda była wesolutka i przy kości. Grossman lubił takie. Ledwo dziewczyna przekroczyła próg jego kawalerki, a już złożyła dłonie, nie kryjąc zachwytu.

— Co to za ptaszek? — wpatrywała się w złoconą klatkę przy oknie. — Jaki śliczny.

Grossman poklepał się z zadowoleniem po brzuszku.

— Czyżby, moja droga — przeszedł z Trudą od razu na ty.

Dziewczyna przyglądała się gospodarzowi

z ciekawością. Trafiała chyba nieźle. To zadbane mężczyzna, krzepkiej budowy, o rumianej i zdrowej cerze. Pewnie jest miękkiego serca, pomyślała. Kto trzyma ptaszki, nie skrzywdzi muchy. Skąd miała wiedzieć, że ten zażywny pan już w młodych latach odpowiadał przed sądem za kradzieże. Tuż przed wybuchem wojny zgwałcił czternastoletnią dziewczynkę. Po wyjściu z pudła rozpoczął dokładnie tam, gdzie był przerwał. Kradł, kantował w kartach, opylał na rynku podrabiane dolary.

Po kilku miesiącach Truda zniknęła. Na pytanie sąsiadki Frau Schnitzler, wścibskiej jak paryskie konsierżki, Grossman pokiwiał ze smętkiem głową.

— Sama pani dobrze wie, jakie są te dzisiejsze pannice. Biegają z miejsca na miejsce, jakby miały wkręcony propeler. Założę się, że Truda przykleiła się do jakiegoś wypchanego wdowca, żeby go poddoić. Próbowala ze mną, ale figa jej się udało.

Jego drugą służącą była młoda Anette, dziewczyna w kwiecie wieku o bujnie rozrosniętych biodrach. Wyparowała jak Truda, nie zostawiając nawet liściku na pożegnanie. Po jakimś czasie przyjął trzecią, pannę do wszystkiego. Miała na imię Dora i wyjątkowo mu leżała. Schlebiał jej i obsypywał prezentami. Dora poczuła się niebawem jakby panią na własnych śmieciach.

Grossman ciągnął ją często na kolację do „Hundejustaw”, gdzie zbierała się złodziejska elita Berlina. Gustaw, właściciel tej „Kaschemme” był kiedyś znanym w mieście hyclem. Stąd jego przydomek „Hundejustaw”. Grossman mógł u niego zaspokajać do syta wszystkie swe kulinarne upodobania. Dora odwiedzała spelunę niechętnie.

— Dziewczyno, to moi kumple — uspokajał ją Grossman. — Widziałas jak mnie witają. Wygląd mają nieszczęśliwy, prawda, ale to wszystko złote serca, mówię ci, na ranę przyłóż. A jaka tu obsługa, kiwniesz i już kelner stoi przy tobie.

Nadszedł dzień, kiedy również Dora wyparowała, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Trzy panny służące i wszystkie zapadły się pod ziemię. Sąsiadką Schnitzler napelniło to nieufnością do Grossmana. Nie raz zdało się jej, że tam w mieszkaniu przez ścianę słycał jąki i dziwne stuknięcia. To musi dopiero być ziółko ten cały Herr Grossman. Coś z nim nie tak, skoro już tajemnicy przepytują o niego.

— Co pan tam taszczy w tym koszyku? — przypatrywała się Grossmanowi coraz bardziej podejrzliwie.

— Bieliznę do prania.

— Tak często pan pierze?

Spojrzał ze złością.

— Są też stare ciuchy na sprzedaż. A pani co do tego?

— Odtąd stał się ostrożniejszy.

W czerwcu 1922 r. Grossman stanął przed sądem przysięgłych „Landgericht I” w Berlinie. Oskarżono go o zamordowanie trzech kobiet, które zatrudniał u siebie jako służące. Podczas śledztwa wyszło na jaw, że ukatrupił też kilkanaście ulicznych. Wyiawiał je nocą z ciemnych bram w pobliżu „Schlesischer Bahnhof”. Po czym uśmiercał i ćwiartował w swym mieszkaniu. Mięso zbywał w pobliskich spelunach.

Mroczny cień tajemniczości snuł się za nim od dawna. Czemu brodził do późnej nocy po najbardziej zakazanych kątach? Dlaczego dziewczyny, które zgodziły się pójść z nim, nigdy już potem się nie odnajdywały? Wśród prostytutek rozeszły się pogłoski, że koło dworca hula szaleniec i podcina kobietom gardła. Właśnie damulki z półświatka jęły ukraadkiem śledzić Grossmana. To one wpadły na pierwszy trop i dały cynk policji.

Grossman zwabiał ofiary do swego mieszkania. Tam masakrował je toporem. Działał zawsze jednakowo.

Jeszcze króciutko o niejakiemu Karolu Denke. Aresztowano go w 1923 r. w Ziębicach nad Oławą. Napadł w swym mieszkaniu na znanego w tym mieście krawca. Mimo ciężkich ran zadanych mu siekierą, krawiec uszedł z życiem dzięki fizycznej sile i przytomności umysłu. Karol Denke zamierzał go zabić. Ale z jakich powodów? W grę nie wchodził rabunek ani jakieś zadawnione porachunki. Brak było motywów. To właśnie dało do myślenia sędziemu śledczemu. Prokurator wydał nakaz aresztowania. Tym bardziej, że w Ziębicach wrzało od dobrych dwóch lat.

W podmiejskim lasku odkryto nagie ciało Ewy Sanders. Szeroko rozwarłe oczy i plamy na szyi wskazywały na uduszenie. A co się stało z innymi dziewczętami, które rozwiwały się jak kamfora? Do policji wpywały wciąż nowe meldunki o kobietach, które wyszły z domu i już nigdy nie wróciły. Matki rozpaczały. Ojcowie nie kryli zaskoczenia. Zawsze uważali, że ich miasteczko jest ciche, przytulne i bezpieczne. Koniec końców zawiązały straż obywatelską. Nic to w niczym nie zmieniło. Co rusz jakaś dziewczyna znikła. Kto u diabła mógł za tym stać?

Sędzia śledczy Marcus zarządził rewizję. Mieszkanie Karola Denkego przenicowano z największą starannością. Zajrzano w każdy kąt. Nic, same rupiecie i zwalę starych tygodników pod łóżkiem. Już miano zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy nieoczekiwanie jeden z detektywów odkrył na ścianie, za odklejoną nieco tapetą, świstek papieru zabazgrany jakimś nazwiskami. Była to kompletna lista zaginionych kobiet.

W tymże czasie w opuszczonej stodole za miastem trafiono na beczkę z peklowanym ludzkim mięsem. W zastawioną na miejscu pułapkę wpadł miejscowy rzeźnik Eduard Kautman. Sypnął Karola Denkego i koło się zamknęło. Karol Denke był człowiekiem kłótliwym. Znano go z trzydniówek. Powiesił się w więzieniu na chuście.

Grossman i Denke — krwiożercze typy najbardziej bestialskich zbrodniarzy. Zimni i przebiegli dopuszczali się najohydniejszych mordów. Działał z planem i wyrachowanym okrucieństwem. Właśnie w latach dwudziestych po raz pierwszy pojawiło się w niemieckiej prasie złowieszcze słowo „Massenmoerder”, masowi mordercy.

Za Henryka VIII najpotworniejszych przestępców wrzucano w Anglii do kotła z wrzącym olejem. Grossman miał oddać głowę pod topór. Śmiał się i drwił z tego. To jak ściąć brukiew i kichnąć w worek. Jednak na kata nie zaczekał. Jak Karol Denke powiesił się w celi. Tyle że na żelaznej zasuwie.

Każdy będzie płacił podatek!

Fiskus szykuje niespodzianki

Rozmowa z **LECHEM MALAGIEM** — wicedyrektorem Izby Skarbowej w Łodzi.

— Nowe podatki obejmą nas wszystkich już wkrótce, bo od 1 stycznia 1991 roku.

— Będzie to podatkowa rewolucja. Od stycznia pojawia się podatek od wartości dodanej. Po angielsku — „Value added tax”, po francusku — „Taxe sur la valeur ajoutée”, czyli „TVA” i z tym ostatnim skrótem możemy się często spotkać. Podatek powszechny. Stosują go dzisiaj bodaj 32 kraje, w tym — wszystkie z EWG.

— Kto go będzie płacił?

— Wszyscy, którzy cokolwiek sprzedają czy produkują, czyli inaczej — od producenta począwszy na konsumencie skończywszy. Podatek od wartości dodanej obejmować będzie surowce, materiały, paliwa, półprodukty, wyroby gotowe. Zastąpi on dotychczas funkcjonujący, jednofazowy podatek obrotowy.

— Czy nie powiększy to i tak sporego galimatiasu w podatkach?

— Chcemy usystematyzować pewne zasady, wprowadzić jednolite dla każdego, czyli sprawiedliwe zasady podatkowe, zrozumiałe dla tak zwanych podmiotów zagranicznych inwestujących w Polsce. Wprowadzenie tego podatku ogranicza możliwość oszustw podatkowych, ale przede wszystkim napisać trzeba, że jeśli marzy nam się przystąpienie do EWG, to ten podatek jest jednym z wstępnych warunków.

— Ponieważ podatek będzie w każdym towarze, a ten będzie nim obciążony w różnych fazach produkcji, to zanim wyrób finalny trafi do konsumenta — stawka podatku będzie już bardzo wysoka.

— Nie, nie! Proponuje się, wzorem wielu innych krajów ustalenie średniej stawki tego podatku na 10 procent. Jeśli teraz przyjmujemy, że jakiś produkt przechodzi przez pięć faz wytwarzania, to choć m.in. producent i hurtownik „po drodze” płacą te 10 proc. to potracają sobie wielkość tego podatku zapłaconą wcześniej. W efekcie konsument — nabywca towaru także płaci tylko 10 procent, choć skarb państwa ma dopływ gotówki w fazach poprzednich.

— Na tyle to skomplikowane, że nikomu nie będzie się chciało oszukiwać fiskusa.

— Nie w tym rzecz. Zasadniczym plusem jest samokontrola faktur. Na każdym etapie ze względu na wspomniane możliwości potrącenia sporych kwot z podatku, wszystkim zależy będzie na solidnej fakturze. Sądzimy, że znikną wówczas obroty „bokiem”.

— Czy będą jakieś zwolnienia od podatku od wartości dodanej?

— Oczywiście, podobnie zresztą jak przy jeszcze obowiązującym podatku obrotowym. Nie będą więc objęte stawką podatkową produkty rolne (roślinne i zwierzęce) oraz cała sfera wyrobów

dotowanych — chleb, węgiel, niektóre rodzaje mleka, chude sery. Wyłączone z TVA muszą być także wyroby o charakterze monopolowym — benzyna, spirytus, papierosy, wyroby jubilerskie, wysokiej klasy sprzęt elektroniczny. Dziś są na te wyroby nałożone wysokie stawki i zrównanie ich na niskim poziomie z innymi produktami spowodowałoby między innymi nieuzasadnione zyski producentów.

— TVA będzie w całości podatkiem centralnym, będzie znikał w budżecie państwa. A cóż zostanie dla budżetów terenowych?

— Podatek od dochodów osobistych. On stanowić ma dochód samorządów lokalnych, a zastąpi kilka innych, dotychczas stosowanych: podatek dochodowy, wyrównawczy, od wynagrodzeń, od funduszu plac (ten ostatni płaci przemysł). Będzie to podatek bezpośredni i powszechny. Zasady jego ustalania i poboru regulować będzie zaledwie kilka aktów prawnych.

— Jakież to dochody będą mu podlegać?

— Wszelkie. Każdy zysk, każdy indywidualny dochód. Ze stosunku pracy wynikający, z emerytur i rent, z działalności gospodarczej, twórczości, działalności naukowej, oświatowej, kulturalnej, literackiej i publicystycznej. Ponadto: z kapitałów i praw majątkowych, ich sprzedaży, a także z wszelkich nie ujawnionych źródeł dochodu. Kto ma stałe źródło pracy, choćby w państwowej fabryce, ten nie będzie wypełniał deklaracji podatkowej, za niego pobierze i przekaże stosowną kwotę zakład pracy. Wszyscy prywatni, tak ich określamy — będą to wzorem zachodnim wykonywać osobiście.

— Ktoś może stwierdzić, że ludzie na tym stracą...

— Nie, pracujemy nad tym, by stworzyć coś w rodzaju okresu przejściowego; na przykład emeryci i renciści prawdopodobnie otrzymają podwyżkę ze źródeł ZUS, aby nowy podatek „wszedł” w podwyżkę. Sfera budżetowa z kolei otrzymałaby coś w rodzaju pożyczki z budżetu państwa i podatek byłby jakby jej spłatą.

— Wszystkie te kombinacje nie spowodują przypadkiem wzrostu „niezbędnej” administracji?

— Przeciwnie, wystarczy dobry komputer i dwie-trzy osoby do obsługi. Na omiast, moim zdaniem, musi nastąpić zwiększenie służby w aparacie skarbowym, ale on zawsze z powodzeniem na siebie zarabiał.

— Mam nadzieję, że będzie to kwota wolna od tego pięknego podatku?

— Będzie, właśnie jej wysokość jest dyskutowana: sądzę, że powinna być to połowa średniej płacy w kraju za ubiegły rok. Dodajmy też, że najniższa stawka tego podatku wyniesie 20 pro-

cent i w niej powinna się „zmieścić” większość podatników, a prawdopodobnie wszyscy z sektora uspołecznionego.

— Jak liczną grupę, w przybliżeniu, zobligujecie tym podatkiem do składania deklaracji?

— Przewiduje się, że podatek obejmie około 20 milionów rodaków, a około 3 milionów będzie zobowiązanych do składania deklaracji po zakończeniu roku. Deklaracje są dla tych, którzy mają więcej niż jedno źródło dochodów, ale ten obowiązek obejmie na przykład cały sektor prywatny.

— Nie przewiduje się zwolnień od tego podatku?

— Nie. Choć będą złagodzenia w przypadku przychodów o charakterze socjalnym, odszkodowań, działalności charytatywnej, losowych, wygranych, odsetek od wkładów oszczędnościowych — nie, bo byłoby to przeciwne jakimkolwiek zachętom do oszczędzania. Ten błąd popełnili na przykład Węgrzy i natychmiast spadły wkłady w bankach.

— Jak będą opodatkowane dochody małżonków?

— Odrębnie. Każde z małżonków ma swój własny dochód — to jest właśnie demokracja ekonomiczna. Ale jeśli zadeklarują chęć łączenia dochodów — to jest to możliwe. Wówczas podatek wyniesie: podwójną wysokość podatku należnego od połowy łącznych dochodów małżonków.

— Brzmi to zawiłe, ale wierzymy, że naprawdę będą to sprawiedliwe, uczciwe i przejrzyste podatki...

— I myślę, że podobnie na europejskim poziomie stworzymy system karania za podatkowe oszustwa.

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

KOTA białego — kupię 34-96-10 20845-g
KOZY, kozłeta sprzedam. 27649-g
34-21-69
AIREDALE-TERIERA sprzedam. 27862-g
Nowosolna Byszewska 19

USŁUGI

PRYWATNY Zakład szyjący cholewki do butów posiada wolne moce produkcyjne do 1000 par dziennie. Informacja: Łódź tel. 52-06-76 (wieczorem) 27629-g
„MECENAS” Piotrkowska 33. Spółki, podatki, porady, podania. 33-43-38 codziennie 10-15 28034-g

ZGUBY

TOMASZ Józefowski zgubił leg. studencką 16786/L AM 28059-g
POZNAŃSKI Rafał zagubił legitymację studencką 17281/L AM. 27395-g
MACIEJ Gruszczyński zgubił leg. studencką 16054/L AM 27330-g
ANDRZEJ Michałak zgubił indeks 69544/S UL 27684-g

ROŻNE

„TERGUS” spółka z o.o. z siedzibą w Łodzi ogłasza otwarcie likwidacji spółki. Wzywa się wierzycieli do zgłaszania wierzytelności w ciągu 3 miesięcy.

FOLIA HYDROIZOLACYJNA

— Folie izolacyjne „IZOFREX” jest wytwarzana z PCV zbrojona włóknem syntetycznym w oparciu o opracowane patenty nr P-255-534;
— Produkowana jest od końca 1984 r. w postaci rolek o szerokości 1 m i długości 20 m; grubości 0,8—1,1 mm i ciężarze właściwym 0,8—1,1 kg/m kw.;
— Stosowana jest do robót izolacyjnych i pokrywczych, przede wszystkim remontów pokryć papowych (również z blachy falistej i eternitu falistej);
— Zachowuje giętkość w obniżonych temperaturach i odporność na podwyższone temperatury (w przedziale od — 35 st. C do + 155 st. C), nie ulega zmianom chemicznym i fizycznym oraz odporna na ww. procesy;

„I Z O F R E X”
TRWAŁOŚĆ! OSZCZĘDNOŚĆ!
LATWOŚĆ WYKONANIA!

27356-g

PW „ETNA”
Łódź, ul. Kilińskiego 222
tel. 81-42-29; 81-73-90
tłx. 886229

O F E R U J E
Bogaty wybór odzieży z tkanin, dzianin i ze skóry.
MODNE WZORY

28067-g



ŚRODA 23 V 1990 R.

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.05 Poznaj swój kraj
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 W twoich rękach — przed wyborami
9.30 „Eglantine” — film obycz. prod. franc.
10.55 Domator
11.20 „Po sześćdziesiątce”
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: „Samy o sobie — SOS”
16.50 Dla dzieci: „Trąba”
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
18.00 Łódzkie Wiad. Dnia
18.45 Rolnicze rozmaitości
19.00 Dobranoc
19.10 Rzeczpospolita samorządna
19.30 Wiadomości
20.00 Studio generalnego komisarza wyborów
20.10 Puchar Europy w piłce nożnej — AC Milau — Benfica Lisbona
22.05 W twoich rękach — przed wyborami
22.10 Zawaze po 21
22.50 Wiadomości wieczorne
23.10 Język angielski (30)
PROGRAM II
16.55 Język franc. (6-powt.)
17.25 Program dnia
17.30 „ABC” — teleturniej językowy
18.00 „Marc i Sophie” (13) serial prod. franc.
18.30 Magazyn „102”
19.00 Express gospodarczy
19.30 „Ostatni posterunek” — rep.
20.00 „Jonasz i Melchiora” — komedia prod. czech.
Scenariusz komedii został oparty na tekstach sławnego praskiego kabaretu „Semafor”.
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryntach” — serial TP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia
CZWARTEK 24 V 1990 R.
PROGRAM I
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 W twoich rękach — przed wyborami
9.30 „Uwodziciel” (3) — serial krym. prod. ang.
10.20 Domator
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: „Kwant” oraz film z serii: „Ordynacja”
17.15 Teleexpress
17.30 „Biznes”
18.00 Łódzkie Wiad. Dnia
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Telemost — Warszawa — Waszyngton — samorząd
19.30 Wiadomości
20.00 Studio generalnego komisarza wyborów
20.10 „Uwodziciel” (3) — serial krym. prod. ang.
21.00 W twoich rękach — przed wyborami
21.05 Interpelacje
Dzisiejsze z udziałem prof. Zbigniewa Brzezńskiego, b. ameryk. doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa państwa.
21.55 Sport
22.05 Pegaz
22.50 Wiadomości wieczorne
23.10 Język angielski (59)
PROGRAM II
16.55 Język rosyjski (30)
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryntach” — serial TP (powt.)
18.00 „Katastrofy” serial dok. prod. ang.
18.30 Program na życzenie

19.30 Filmy Piotra Paradowskiego „Dublin”
20.05 Jeśli zapomnę o nich — rep.
20.45 Wielki tenis
21.30 Panorama dnia
21.45 Perły z lamusa: „Nadworny blazen” — kom. kostiumowa prod. USA
Turnieje, pojedynki, intryki dworskie — wszystko to na wesolo i z muzyka. Na początku lat pięćdziesiątych krytyka okrzyknęła „Nadwornego blazna” komedią wszechczasów.
23.35 Komentarz dnia
PIĄTEK 25 V 1990 R.
PROGRAM I
7.45 Express gospodarczy
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 W twoich rękach — przed wyborami
9.30 „Złoty skarb” — kom. obycz. prod. radz.
10.45 Domator
15.50 Program dnia — Telegazeta
15.55 Interasygnal
16.25 Dla młodych widzów: „Materiał sceny”
16.50 Dla dzieci: „Okienko Pamkracego”
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
18.00 Łódzkie Wiad. Dnia
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gosp.
19.30 Wiadomości
20.00 Studio generalnego komisarza wyborów
20.10 Kino muzyczne Kyrcyńskie: „Wyzisc stery” — film prod. USA
Miłość, zazdrość, komplikacje rodzinne, humor i bardzo dużo muzyki oraz Bing Crosby, Grace Kelly, Frank Sinatra, Louis Armstrong w filmie Charlesa Waltera.
22.00 W twoich rękach — przed wyborami
22.05 Sport
22.15 Weekend w Jedynce
22.25 Wiadomości wieczorne
22.40 „Rzeczpospolita samorządna” — sejmik
PROGRAM II
10.00 Transmisja obrad Senatu
16.55 Korepetycje dla maturzystów — jez. ang. (45)
17.25 Program dnia
17.30 Wzroczkowa lista przebojów
18.00 „Dobra nadzieja” (6) — ser. prod. franc.
19.00 Express gospodarczy
19.20 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 „Argentyna” — prog. publ.
20.00 „Piątek” — mag. z Krakowa
21.30 Panorama dnia
21.55 „Kobieta mojego życia” — film fab. prod. franc.
23.25 Komentarz dnia
SOBOTA 26 V 1990 R.
PROGRAM I
7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — prog. rekreacyjny
8.40 Ziarno — prog. red. kat. dla dzieci i rodziców
9.00 Drops — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii: „Helidi” (17. 18)
10.30 Wiadomości poranne
10.40 W twoich rękach — przed wyborami
10.45 „Zanim zabrzmiała jej pieśń” — film dok.
11.10 Militarizm, obronność, nowoczesność
11.35 „Poza rok 2000” — film dok. prod. austral.
12.05 Telewizyjny koncert zyczeń
12.35 Wędrowki dalekie i bliskie
13.10 Życie — magazyn ekologiczny
13.30 Sztuka i my
13.50 Nad Niemnem, Piną i Prypcią
14.10 Rewizja nadzwyczajna — Rembertów 1945
14.40 „Przygody Robin Hooda” — film przyg. prod. USA
16.20 Skarbiec — magazyn hist.-kult.
17.15 Teleexpress
17.30 Butik

18.00 Magazyn nie tylko kulturalny
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Klejnot z Chin” — film sensac. prod. franc.
21.35 Telewizyjny przegląd sportowy
21.55 „Haich life” (3)
22.40 „Życie jest fraszka”
22.50 Telegazeta
23.00 Wyrafinowani mordercy” — film krym. prod. ang.
PROGRAM II
11.00 ELPEES — program reg. OTV Łódź
13.00 Czas akademicki — katechki nurt stowarzyszeń akademickich
13.30 Bariery
13.55 Program dnia
14.00 „Kraina tygrysa” (2) — film przyr. prod. USA
14.25 Spektrum
14.40 „Odkąd świat jest światem” — film prod. franc.
14.55 Meandry architektury
15.16 „Futura” — film prod. franc.
15.25 „Cerowanie życia” — film prod. pol.
15.45 „Energia” — film prod. franc.
16.00 Cisza i dźwięk (6)
16.30 Studencki Festiwal Piosenki — koncert laureatów
17.30 Aktorskie dyplomy '90
18.00 „Odeon” na antenie „Dwójki”
18.40 „Rozgłoszenia Polska Radia Wojna Europa” — rep.
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 „Przed konkursem chopinowskim” — w obcych krajach
21.00 Dwa + 2
21.30 Panorama dnia
21.45 Fragmenty pewnej całości — rep. z wystawy World Press Photo '89
22.10 „Mussolini — historia nieznaną” (6) — serial prod. USA
23.10 Brunona Miecugowa „Duch polskie”
23.30 Komentarz dnia
NIEDZIELA 27 V 1990 R.
PROGRAM I
7.00 Witamy o ślódniej
7.30 Kraj za miastem
7.55 Po gospodarsku — mag. spraw wiejskich
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.40 Program dnia
8.45 Wybory '90 (lok.)
9.00 Dla młodych widzów: „Teletanek” oraz film „Defektywi na wakacjach” (1) — serial TP
10.30 Wiadomości poranne
10.45 „Tajemnice rosyjskiej przyrody” (12-ost.) — film przyr. prod. kanad.-radz.
11.10 „Szalom” — „Bramy czasu” — film dok.
11.50 Wiadomości
12.00 Telewizyjny koncert zyczeń
12.50 Teatr Młodego Widza: Ewa Nowacka — „Małgosia contra Małgosia” (3)
13.45 Wiadomości
14.00 Sportowa niedziela
14.35 Morze — magazyn
15.00 Wybory '90 (lok.)
15.15 Międzynarodowy Festiwal Tańca — „Poznańskie koziołki”
15.55 „Angielska muzyka” (5) — serial prod. franc.
16.50 Antena
17.15 Teleexpress
17.30 Cannes '90 — rep.
18.00 Portrety: „Aleksander Gieysztor — historia dawna i bliska”
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Modrzejewska” (3) — „Czerniowce” — serial TP
21.25 Kabaret Ogi Lipińskiej — „Struś”
22.25 Wiadomości wieczorne
22.35 „7 dni — świat”
23.05 Sportowa niedziela
PROGRAM II
8.40 Zdrowie — magazyn publ.
9.10 Przegląd tygodnia — dla niesłyszących
9.45 Film dla niesłyszących: „Modrzejewska” (3)
11.05 Jutro poniedziałek
11.30 Lokalny koncert zyczeń
11.55 Program dnia
12.00 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” (13) — serial prod. USA

12.50 Polska Kronika Filmowa
13.00 Z batutą i z humorem
13.20 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia” (5)
14.15 A to Polska właśnie
15.25 Formuła I (start) — transmisja z Monte Carlo
15.55 100 pytań do...
16.35 Formuła I
17.30 Bliżej świata
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 „Paganini — człowiek legenda”
20.00 Studio sport
21.00 „Do ziemi św. Wojciecha” — rep.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Rażące zaniechanie” — film obycz. prod. ang.
23.20 „Dziecko szczęścia, czyli Jeremi Przybora”
24.00 Komentarz dnia
0.05 Akademia wiersza
PONIEDZIAŁEK 28 V 1990 R.
PROGRAM I
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatów
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie — publ. międz.
18.00 Wędrowki dalekie i bliskie: „Miasto zmarłych” — film dok. prod. jug.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizyjny na Swiecie: Ramon J. Sender: „Kury Cervantesa”
21.35 Sport
21.45 Kontrapunkt — przegląd wydarzeń krajowych
22.15 „Yaga Yan” — recital zespołu
22.35 Wiadomości wieczorne
22.50 „Kinomania”
23.25 Język angielski (60)
PROGRAM II
16.45 Język angielski (60)
17.15 Program dnia
17.30 Czarno na białym — przegląd PKF
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Łódzkie Wiad. Dnia
18.30 Za chwile dalszy ciąg programu — prog. rozrywkowy
19.30 Roman Lasocki przedstawia — Adam Mustajski
20.00 Auto — moto fan klub
20.30 Studio tajemnic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Każdy ma swoje piekło” — film prod. franc.
23.25 Komentarz dnia
WTOREK 29 V 1990 R.
PROGRAM I
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Bluebell” (3)
10.20 Domator
15.00 Solidarni wobec AIDS, cz. 4
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: „Tik — Tak” oraz film z serii: „Gumisie” (10)
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia — publ. międz.
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 „Złota dziesiątka” — XIV Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki Wrocław '90
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus — prog. publ.
19.30 Wiadomości
20.00 Spotkanie z ministrem Jackiem Kuroniem
20.15 „Bluebell” (3) — serial obycz. prod. ang.
21.10 Sport
21.20 Listy o gospodarce
21.55 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”
22.45 Wiadomości wieczorne
PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Dookoła świata
18.00 Łódzkie Wiad. Dnia
18.30 Dawniej niż wczoraj
18.50 Raj dla władzy — rep.
19.10 Modlitwa wieczorna
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Crimen” (5) — serial TP
22.45 „Mój czas” — recital Macy Dobosz
23.20 Komentarz dnia

Papier nie jest cierpliwy

„Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka”. „Jestem piersią. Zjawisko, które opisano mi jako „brylowaty naciek hormonalny”, „wewnątrzwydzielniczą katastrofę” i „hermafrodytczny wybuch chromosomów”, zaszło w moim ciele między północą a czwartą nad ranem, osiemnastego lutego 1971 roku. Wskutek tego przeobraziłem się w gruczoł piersiowy nie pozostający w związku z żadną postacią ludzką...”

Tadeusz Z. zmienił się w kartkę papieru. Bał żeby tylko w jedną kartkę, to byłoby jeszcze pół biedy, ale on zmienił się w całą ryzę papieru maszynowego. Stało się to w sposób bardzo prosty i zarazem — tak zresztą z reguły bywa — tajemniczy. Otóż któregoś dnia nagle poczuł, że niesie go ktoś pod pachą, a potem zostaje z hukiem rzucony.

I po kawałku zaczęło go zabierać (bo każda kartka była jego częścią). Tadeusz Z. nie wiedział co się wkoło niego dzieje, wiedział natomiast doskonale, co się na jego ciele (chyba tak można powiedzieć) pisze. Największy ból odczuwał, kiedy wkręcano go do maszyny i wystukiwano na nim poszczególne litery. Robiono to wyjątkowo często, a czegoś na nim nie wypisywano! Jakies ogromne artykuły zupełnie o niczym, których na pewno nikt nie czytał, poza oczywiście nim i autorem, jakies dowcipy, wcale zresztą nieśmieszne, listy, informacje o tym, że ktoś z kimś gdzieś tam się spotkał, i nie kompletnie z tego nie wyniknęło, donosy, paszkwile, ataki na innych w czym specjalizowało się kilku znamienitych fachowców, którzy potrafili stracić parę godzin dziennie po to, by kogoś z całą mocą ugodzić.

— „To, że stałem się papierem, jakos będę musiał przeżyć — myślał. — Trudno, stało się, może to tylko sen, ale dlaczego wylądowałem w domu wariatów, to tego kompletnie nie mogę zrozumieć. Tutaj chyba wymyślili specjalny rodzaj terapii dla wariatów... leczenie pisaniem. a oni uwierzyli i wydaje im się, że kto więcej napisze, ten będzie zdrowszy. Dobrze, że przynajmniej przestają cokolwiek czuć, kiedy kartka jest już zapisana i nie wiem, co dalej się ze mną dzieje. Boże, gdybym mógł przemówić, to powiedziałbym tym wszystkim facetom (a może nie tylko facetom), żeby dali sobie spokój i zajęli się czymś pożytecznym. To nieprawda, że papier jest cierpliwy... ja przynajmniej do cierpliwych nie należę... papier nie jest cierpliwy tylko nie może zrobić”.

Po jakimś czasie (wcale to tak długo nie trwało) zorientował się, że leży na biurku w redakcji jakiegoś czasopisma. I z każdym dniem ubywało go coraz więcej i z przerażeniem myślał, co będzie, kiedy zostanie już jedyna, ostatnia kartka. Na szczęście dość nieoczekiwanie przyszło wybawienie. Ktoś potracił go i spadł na podłogę, ktoś inny zapomniał zamknąć okno, potem była burza i nagle poczuł, że zalewa go coś mokrego. Nazajutrz przyszli ludzie i wrzucili go na stos jakichś papierzyśk, a następnie oddali na makulaturę.

Tadeusz Z. był szczęśliwy, szczęście jego jednak nie trwało długo. Po odpowiednich przeróbkach powrócił bowiem jako papier gazetowy i to było jeszcze gorsze.

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

ZBLIŻA SIĘ DZIEŃ DZIEŃKA,
CHCESZ MIEĆ TROCHE SPOKOJU —
KUP DZIECKU NASZĄ MALOWANKĘ!
TYLKO ZA 1500 ZŁ! PYTAJ W
KIOSKACH O NASZĄ MALOWANKĘ!



Siódme: nie kradnij!

1.

Rozmowa zaczęła się od stwierdzenia, że każdy członek naszego społeczeństwa doskonale wie, co to jest dekalog chrześcijański, i że nikt nie podważa zasadności jego norm moralnych. A w każdym razie nie powinien. Następnie krótka chwila refleksji: czy zdarzają się takie sytuacje, które postępowanie człowieka wbrew zasadom dekalogu usprawiedliwiająby moralnie? Ależ tak: istnieją: bo oto jeśli człowiek umiera z głodu i ukradnie dla zaspokojenia tego głodu, to czyn, mimo że dokonany wbrew przykazaniu: nie kradnij!, posiada swoją motywację usprawiedliwiającą (jak i rozgrzeszającą) — ukradł, ponieważ bronił swego życia. Życie ludzkie jest przecież najwyższą wartością.

2.

Ludzie nie od dziś — od zawsze — dzielą się na tych przeżartych aż do niestrawności, jak również na tych, którzy są syści, i na tych wreszcie, którzy syści nie są, a nawet często bywają głodni. Nasze społeczeństwo w naszej rzeczywistości też temu podziałowi podlega, 60 procent polskich rodzin żyje na krawędzi ubóstwa; tak przynajmniej podają ostatnie statystyki, a statystyki podobno nie kłamią. Niestety, brak danych statystycznych na temat, ile rodzin polskich tę krawędź ubóstwa przekroczyło, czyli ile jest rodzin bardziej głodnych niżby wypadało. Ale i dla tych głodnych, bardziej niżby wypadało, i dla tych jeszcze głodnych w ramach przyzwoitości, uruchamia się punkty darmowych zup, wspomaga ich Kościół, państwo dofinansowuje system rozlicznych zapomóg, darowizn itepe; tak że powiedzieć, że ktoś w naszej obecnej rzeczywistości umierając z głodu kradnie bliźniemu bochenek chleba, byłoby czystą demagogią.

Ja też często bywam głodna: na „coś dobrego”, na przykład — na szynkę, której nie kupuję, a jeśli już, to w ilościach śladowych dla syna, więc jeśli ukradłabym taką w sklepie lub porwała ją kupioną przez sytego (czy nawet przeżartego) z jego torby, motywacja: że byłam na nią głodna, nie wystar-

czyłaby ani dla moralnego, ani społecznego usprawiedliwienia tej kradzieży.

3.

Ksiądz Ryszard Halwa (rozmowa przed mikrofonem radia z red. Ejsmondem w dniu 11 maja) zakładający moralne usprawiedliwienie, a nawet moralny consensus dla złamania zasady: nie kradnij! nie taką sytuację musiał zakładać. Należałoby więc postawić pytanie: jakie to sytuacje doprowadzają człowieka do tak skrajnego głodu, że zagraża on, ten głód, jego życiu?

4.

„Achtung! bereit, Feuer! — powiedział komendant nie podnosząc głosu, szereg karabinków, żołnierze odskoczyli krok w tył, aby nie obrzuciły ich roztrzaskiwane głowy... Ledwie szpakowały, ogorzały komendant zdążył szczęśliwie odjechać, milczący tłum, który napierał coraz natarczywiej na drogę, wybuchnął ponurym jazgotem, runął lawiną na okrwawione kamienie, przekotłował się po nich z wraskiem i rozpedzony pałkami blokowych i sztabowych, zwolanych z całego lagru, rozsypał się chyłkiem po blokach. Stałem nieco z boku miejsca egzekucji i nie mogłem dochrapać się na czas, ale gdy nazajutrz rano wygnano nas znów do roboty, zmuzulmaniony Żyd z Estonii, który nosił wraz ze mną rury, przez cały dzień zapewniał mnie żarliwie, jakoby mógł ludzki naprawdę był tak delikatny, że można go jeść bez gotowania, zupełnie na surowo”. (Tadeusz Borowski, „Kolacja”, z cyklu „Kamienisty świat”).

5.

Dekalog nie wypowiada się na temat kanibalizmu; to Niemcy wpisali w bramy obóz: Kanibalizm uzbrojony. Bóg widocznie nie przewidział sytuacji, w których człowiek człowieka... Lecz kanibalizm jest motywem występującym w wielkim głodzie. Głodzie, który ludziom odbiera ich ludzką twarz. Wielki, śmiertelny głód wynika wyłącznie z takich sytuacji jak ta, wstrząsająca przez swój autentyzm przeżycia, z „Kolacji” T. Borowskiego, więźnia Oświęcimia. Tylko w takich okolicznościach człowiek może być aż tak głodny, że z głodu umiera.

6.

Gdyby ktoś postawił mnie wobec problemu etyki: czy człowiek umierający z głodu może okraść umierającego z głodu? — nie potrafiłabym dać odpowiedzi. Nie potrafiłabym, ponieważ nie mam takiej wiedzy o sobie samej, która dałaby mi pewność, jak zachowałabym się będąc śmiertelnie głodna i chcąc przeżyć. Ale ja, jako osoba świecka, nie muszę udzielać rozgrzeszeń, natomiast każdy kapłan ma je wpisane i w swoje ludzkie sumienie, i w swoje kapłańskie powinności. Toteż zadumałam się głęboko nad moralnym konsensusem księdza w kwestii siódmego przykazania: nie kradnij.

EWA OSTROWSKA



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Deser będzie wniesiony o szesnastej pięćdziesiąt. Radiogram z tegoż czasu urwał jego zastępcy czas do szesnastej czterdzięci pięć. Czolgi Grzmiłasa powinny już otaczać Siedzibę dudniącym glucho pierścieniem. Komandosi na razie dublują warty przy wejściach. W odpowiednim momencie rozbroją je. Bard musi o tym wszystkim wiedzieć, musi to widzieć przez swoje okno, muszą słyszeć dudnienie motorów uczestnicy konferencji. Co to ma znaczyć? Ochrona Siedziby przed awanturnictwem elementów. Jest przecież niepokój w kraju.

Laura sprężystym krokiem weszła do komendantury i stanęła na baczność przed Marianem Majorem, który rozmawiał właśnie z młodym porucznikiem o brwiach albinosa. Przerwali rozmowę.

— Meldujcie, Jaskulska — polecił komendant.

— Obywatel Naczelnny rozkazał dostarczyć odpowiedź z Siedziby na swój radiogram — zameldowała energicznie sierżant.

Komendant odruchowo spojrzął na zegar ścienny, była szesnasta czterdzięci siedem.

— Przekażcie, że dotąd nie nadeszły — powiedział barbowym głosem. — Mamy defekt radiostacji.

— Nie musimy mieć defektu radiostacji — wtrącił się białobrewy porucznik z niezapominajką w klapie. — Odpowiedzi nie ma i nie będzie.

— Jak to nie będzie? — zgromił go Major z zaskakującą surowością. — Co będzie, to się okaże, poruczniku. Nie mówcie mi w czasie przyszłym!

— Rozkazi!

— Idźcie, Jaskulska i zameldujcie Naczelnemu, że dotąd nie ma odpowiedzi.

— A radiostacja?

— O radiostacji nic — odparł po pauzie komendant i spojrzął na porucznika z obrzydzeniem.

Kuchmistrz wniósł osobiście wielopiętrowy torf z owocowymi kwiatami i jarzącymi się kolorowo kulami lodów. Postawił go uroczystie przed Naczelnym.

— Deser podano! — ogłosił.

Deser jednak nie został skonsumowany. Nie został nawet napoczęty. Kiedy Naczelnny sięgnął po nóż tortowy, powróciła sierżant Jaskulska. Pochyliła się do szefa i szepnęła mu na ucho kilka słów. Odłożył nóż i podniósł się z krzesła.

— Za dziesięć minut czekam na was wszystkich w sali konferencyjnej — oznajmił.

Kiedy tam się znaleźli, zaskoczył ich widok kamery telewizyjnej skierowanej na pusty fotel za stołem prezydyjnym. Zajęli krzesła w pierwszym rzędzie. W dalszych rzędach, ku zaskoczeniu Marata, rozsiadł się personel Ośrodka, oficerowie ochrony, kucharki, orkiestra, wreszcie sam komendant Marian Major obok białobrowego porucznika z emaliowaną niezapominajką w klapie.

Naczelnego dotąd nie było.

— Zaraz nadejdzie — zakomunikował Emil Gorban, który zdążył przebrać się w swój galowy oficerski mundur. — Proszę pozostać na miejscach.

Był podniecony, bły, nozdrza pulsowały mu niespokojnie. Pochylony nad stołem prezydyjnym, nanosił jakieś poprawki na arkusz maszynopisu.

Naczelnny siedział w swoim gabinecie przy konsoli łączności i rozmawiał z generałem Grzmiłasem.

— Wykonałeś?

— Mniej więcej...

Naczelnny zeszytywał.

— Co to za język, generale? — zapytał sucho. — Rozmawiam z dowódcą okręgu.

— Tak jest! — głos generała Grzmiłasa zdźwięczał służbiście. — Wasz rozkaz wykonałem, obywatelu Naczelnny.

— Siedziba otoczona? Warty zdublowane? Masz swoich ludzi wewnątrz budynku?

— Wasz rozkaz wykonałem, obywatelu Naczelnny — powtórzył jak mechaniczna zabawka generał Grzmiłasa.

— Dziękuję. Patrz w telewizor. Wkrótce wystąpię. Kiedy skończę, komandosi wkroczą na salę konferencyjną. Ktoś wzniesie okrzyk na moją cześć, będą oklaski. Gdyby któryś z obecnych próbował wywołać zamieszanie, aresztować. Ale taktownie, bez awantur.

— Tak jest.

— Uważać na Barda — powiedział z naciskiem Naczelnny. — Nie może się wymknąć.

— Tak jest.

— Nie masz pytań, Stachu? Żadnych pytań?

— Żadnych, obywatelu Naczelnny!

Naczelnny rozłączył się z generałem Grzmiłasem i przez pewien czas przyglądał się nieruchomo konsoli elektronicznej z migającymi światełkami, których barwę dobrano zgodnie z jego gustem: od mlecznobiałej, przez coraz mocniejsze odcienie różu, aż po kolor pomarańczowy. Grzmiłasa już nie ten sam co dawniej, pomyślał, zapewne musiał dawać odpór naciskom, traci odporność i ma wahania; wysłaliśmy go do Libli na atakach wojskowego, na okręg powinien przyjść ktoś młodszy. Oficer z dobrą pamięcią, żeby nie zapomniał, komu zawdzięcza awans.

Nawiązał łączność z radiokomitetem:

— Prezes Rubin? Bądźcie gotowi zarejestrować moje wystąpienie. Potrwa kilka minut. Tak, do narodu. Pięć minut po skończeniu przystąpię do emisji we wszystkich programach telewizji i radia. Powtarzajcie co godzinę. Zrozumieliście wszystko, prezesse?

— Zrozumiałem wszystko, obywatelu Naczelnny.

— No, to dziękuję wam.

Odłożył słuchawkę. A jeśli się myli? Jeśli Bard jest lojalny, wzięł po prostu na siebie ten konflikt, jego wyłączył, żeby mu nie psuć wakacji i żeby wykazać własną sprawność? W takim razie popełnił błąd: szefowi nie daje się do myślenia.

Z trudem dźwignął się z obrotowego fotela. Łamało go w kościach, widocznie zbiera się na deszcz. Człapiącym krokiem ruszył w stronę sali konferencyjnej. Dopiero u jej progu sprzął się, wyprostował. Wkroczył na salę rześki i uśmiechnięty.

Chcieli wstać, gestem ramienia nakazał, by pozostali na miejscach. Siadł w samotnym fotelu za stołem prezydyjnym, za sobą na ścianie miał gobelin przedstawiający godło państwa. Gerban podsunął mu kartki i okulary, wrócił na swoje miejsce do pierwszego rzędu.

Naczelnny miał na sobie ciemny wizytowy garnitur, białą koszulę i wiśniowy krawat z delikatnym wzorkiem. Twarz była już napudrowana dyskretnie: przybladły zmarszczki, zanikły prawie wory pod oczami. Rzadkie włosy, podtapirowane z przodu, opadły na czoło. Osobisty kamerzysta szefa czuł już przy aparacie zamocowanym na trójnogu, pod kątem lubianym przez Naczelnego. Ujmować należało go nieco z dołu, to dodaje dostojności. Światło musi być pastelowe, nie demaskujące.

Szef poruszył brwiami. Nad kamerą zapaliło się czerwone światełko.

— Rodacy! — zaczął głosem dźwięcznym jak dawniej, młodzieńczo donośnym i równocześnie głębokim, z nutkami dyskretnego patosu. — Jako naród wybrany, doświadczani jesteśmy przez los, który wystawia na historyczną próbę nasze poczucie godności, naszą dumę narodową, nasz patriotyzm, a nade wszystko naszą zbiorową mądrość...

Marat od dawna nie słyszał szefa przemawiającego z takim żarem. Przyłapał się, że ma łzy w oczach. Naczelnny w krótkich słowach przywoływał ich bohaterską przeszłość, nazywał miejsca zwycięskich bitew, oddawał hołd mężczyznom.

— ...Chwała im! Chwała i wieczna pamięć płomiennej córce swego ludu, która jak Joanna d'Arc... — Naczelnny urwał, głos zdławiło mu wzruszenie. — Poszła na dobrowolny stos, aby nas przestrzec przed samozagładą. Jej śmierć nie pójdzte na marne. Technokratom, tym maruderom wielkoprzemysłowym, którzy za wszelką cenę chcą doścignąć świat najwyższej rozwinięty, budując fabryki bez filtrów, zakłady chemiczne bez oczyszczalni, elektrownie jądrowe bez koncepcji unieszkodliwiania odpadów radioaktywnych, owym megalomanom i arogantom teraźniejszości, lekceważącym naszą przyszłość, wywołującym uwiad lasów, wysychanie rzek, kwaśne deszcze i świecenie upraw na polach — powiadam: „Dość!”. Wszystkich członków Komitetu Ocalenia Ziemi Ojczyzny powołuję do Komisji Kontroli, która czuwać będzie nad ekologią kraju. Otwieramy szeroko parlament...

KONIEC